ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.



Nr. 42. 19. X. 1935 R.

w numerze:

Znakomita śpiewaczka amerykańska IRRA PETINA daje recital w sali Konserwatorjum w środę 23 października r. b.

DARMO

150 biletów na 2 koncerty dla Czytelników „Świata"

22 b. m. koncertuje w sali Konserwatorjum znakomita pianistka bułgarska **Teofana Daneff**

program koncertu poświęcony twórczości Schumanna.

23 b. m. — świetna śpiewaczka amerykańska **Irra Petina**

artystka Metropolitain-House w New-Yorku wychowanka Curtis Institute w Filadelfji, pod dyr. **Józefa Hofmana**.

Każdy z naszych czytelników, który do godziny 12-ej w południe nadeśle do naszej Administracji załączony kupon, na którym wypisze swe nazwisko i adres

OTRZYMA DARMO BILET NA KONCERT

jednej z wymienionych artystek. Trzeba tylko wypełnić szybko kupon i znaleźć się w liczbie 150 pierwszych czytelników, którzy nadeślą nam kupony, taką bowiem ilość miejsc zamówiliśmy i zarezerwowaliśmy dla naszych czytelników.

BEZPŁATNY KUPON NA KONCERT

Imię i nazwisko: ....

....

Dokładny adres: ....

....

Na wystawie Sportowo-Turystycznej — stoisko Orbisu

Na wystawie sportowo - turystycznej w Krakowie warto obejrzeć stoisko Orbisu. Ciekawie pomyślane, artystyczne wykresy ilustrują działalność polskiego biura podróży, wykazują, jak wielką pracę pełni Orbis na polu organizowania turystyki w Polsce i propagowania wycieczek do Polski wśród obcych.

Rozwój Orbisu w pierwszych 7 miesiącach roku bieżącego zaznacza się znacznem zwiększeniem obrotów finansowych (o 47%) i ilości sprzedanych biletów kolejowych, oraz kart uczestnictwa na wielkie zjazdy i pociągi popularne.

Modele, wykresy, fotomontaże, barwne plansze wystawowe wykonane zostały pomysłowo przez zdolnych artystów.

Wydawca: Polskie Biuro Podróży Orbis — Redakcja: Jadwiga Krawczyńska.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 42 19.X.1935

L. CHRZANOWSKI

NOWY RZĄD

Nowy rząd. Rząd premjera Marjana Zyndram - Kościałkowskiego jest pierwszym rządem, powołanym do władzy przez p. Prezydenta Rzeczypospolitej, w którym brak imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego. Podkreślając ten zasadniczy moment, „Gazeta Polska" pisze:

„Z faktu tego wynikają konsekwencje przedewszystkiem gdy chodzi o stosunek rządu do społeczeństwa. Olbrzymi niewyczerpany bodaj kredyt moralny, jaki posiadał w narodzie każdy rząd, wsparty o osobę Piłsudskiego, nie może być niczem zastąpiony. Pomnaża to poważnie odpowiedzialność, jaką biorą na swoje barki członkowie nowego gabinetu i stawia przed Rządem konieczność nawiązania współpracy ze społeczeństwem przez jasne wytyczenie celów i metod pracy rządowych, wyraźne nakreślenie programu działania".

Współpraca ze społeczeństwem i wyraźnie nakreślony *plan działania* wysuwają się jako podstawowe czynniki powodzenia prac rządu, *jako warunek realizacji zamierzonych planów*. W tak niesłychanie trudnym momencie politycznym, jaki przeżywa obecnie świat, rząd świadomy swych celów oraz posiadający zaufanie i poparcie społeczeństwa, *to potęga twórcza w rękach szefa rządu*.

Kontakt ze społeczeństwem, więcej, współpraca z niem — nietylko poprzez organizacje, grupy i instytucje oklaskujące bezkrytycznie, to istotne wydobywanie nowych zasobów siły polskiej.

Obecny szef rządu zarówno w swej działalności jako minister spraw wewnętrznych, jak i w całej swej poprzedniej działalności społecznej i państwowej zawsze potrafił zyskiwać sobie zaufanie.

To zaufanie społeczeństwa towarzyszy obecnemu szefowi rządu od pierwszych wyborów stołecznych dokonanych po przewrocie majowym, kiedy to lista sformowana przez p. M. Zyndram - Kościałkowskiego tryumfowała w wyborach do Rady Miejskiej w stolicy.

Nowy szef rządu stał się więc niewątpliwie jednym z najbardziej powołanych do nawiązania i zorganizowania współpracy ze społeczeństwem. Zaufanie społeczeństw do własnych rządów buduje się zawsze i wszędzie na fundamencie świadomości. Społeczeństwo, które wie, że rząd ma jasny program, które zna i *rozumie metody* jego pracy, to społeczeństwo zbroi się w spokój do pracy i wyposaża rząd swem zaufaniem.

Tajemniczości, zagadki, jakiemi obdarza się społeczeństwa zamiast jasnego programu, nigdy nie sprzyjają zdobywaniu zaufania.

Społeczeństwa nie lubią rebusów — zamiast programów! Tembardziej, że powszechnie wiadome jest, iż „wyniosłe milczenie" kryje albo brak programu, albo niepowodzenie jego realizacji. „Tajemniczość" — może temu lub owemu ministrowi oszczędzić kłopotów... chwilowych, jest jednak w odwrotnym stosunku do tej „poważnej odpowiedzialności" rządu, którą podkreśla „Gazeta Polska".

Rząd, *który ma ambicje państwowego wychowywania narodu*, musi mieć jasny program i musi dbać, aby ten program był zrozumiały i społeczeństwu znany.

Świadoma współpraca narodu z rządem, to podnoszenie narodu na coraz wyższe szczeble państwowego uświadomienia i wyrobienia. Realizacja takiej współpracy — to realizacja i pomnażanie sił państwa — sił całego narodu.

MIECZYSŁAW STERLING

WYSTAWY w I. P. S.

Po śmierci „Cyrulika Warszawskiego" satyra znikła z życia artystycznego Warszawy. Z satyrą znikła również karykatura. Kilku dobrych rysowników pozostało bez zajęcia. Przez pewien czas „Kurjer Poranny" udzielił im gościny — niestety, ani dowcip pisarzy, ani dowcip rysowników nie wystarczyły na zapełnienie jednej kolumny i „Smalone Duby" zostały zlikwidowane. W tym czasie powrócił do kraju artysta - satyryk z Bożej łaski, Czermański. Trudno było zrazu znaleźć ujście dla jego talentu. Wówczas autor znakomitych wizerunków Piłsudskiego w „Cyruliku" wydał tekę o Marszałku Piłsudskim i o jego latach syberyjskich. Jest w tych rysunkach wzruszająca nuta poezji i wielki talent człowieka, umiejącego wnikać w życie rysowanej postaci tak, by życie to mógł odtworzyć we wszystkich stanach psychicznych portretowanego. I tutaj satyryk ustępuje miejsca raczej rysownikowi - poecie, zakochanemu w objekcie swoich studjów psychicznych. Marszałek Piłsudski staje się nie tematem satyry, ale uwielbienia i to uwielbienie zaczyna rozciągać się na przeszłość, na lata młodzieńcze. Powiedziałbym, że odczucie Piłsudskiego w latach zsyłki na Sybir jest we wszystkich formach wyrazu — w oddaniu samej postaci młodego rewolucjonisty czy też w odtworzeniu pejzażu nieznanej ziemi, naprawdę znakomite. W miarę zbliżania się do rzeczywistości, szczególnie tej, widzianej na fotografjach, a nie przepracowanej we własnej wyobraźni, Czermański zatraca nutę poezji i artyzmu: nad interpretacją zaczyna ciążyć rzeczywistość martwej reprodukcji i tylko w dwuch — trzech postaciach, w których własna intuicyjna interpretacja znajduje miejsce dla siebie, postać ożywa i nabiera cech przekonywujących. Życie się Czermańskiego z postacią Marszałka jest bezsprzecznie wielkie i umiejętność wnikania w jego psychikę znacznie głębsza i jakaś prostsza, bezpośredniejsza, niż u jakiegokolwiekbądź innego artysty.



Czermański — rysunek z cyklu o Marszałku Piłsudskim na Syberji.

Tematowo związana z wystawą Czermańskiego jest wystawa drzeworytów Chrostowskiego. Tutaj jednak rasowy drzeworytnik wysuwa na pierwszy plan nie sentyment, ani temat, ale jakość wykonania swojego drzeworytu. Chrostowski jest niezrównanym technikiem drzeworytnictwa, jest jednym z najbardziej pracowitych grafików i pracami swojemi zjednał sobie uznanie nietylko Polski, ale i zagranicy. Jego formą ulubioną jest drzeworyt niewielki, w który zamyka jednak olbrzymią sumę wyrazu technicznego i tematowego. Artysta młody jeszcze jest jednym z niewielu, którzy pracują nad rozszerzeniem skali ekspresji kreski w drzeworycie i nad wzbogaceniem jej jakości i różnorodności. Być może, że to wielkie skoncentrowanie się niemal wyłącznie na jakości techniki nieraz wywołuje wrażenie pewnej oschłości, ale tutaj, w scenach związanych z życiem Marszałka, Chrostowski zdobywa się na sceny o dużem napięciu tragicznem, jak to daje nprz. scena buntu w więzieniu. Cała serja wystawionych prac stoi na niezmiernie wysokim poziomie technicznego wykonania, opłaconem, niestety, ciężką chorobą ręki, która sforsowana wyczerpującą pracą w drzewie odmówiła dalszej pracy, zastrajkowała i spoczywa na temblaku, niezdolna chwilowo do większych, a raczej żadnych wysiłków. Życzymy autorowi prędkiego powrotu do warsztatu.

Jeszcze jeden grafik bierze udział w tej wystawie—Józef Tom. Daje on szereg litografji, bardzo miłych obrazów polskich małych miast, wykonanych na litograficznym kamieniu tak, jakgdyby wy-

konywał je piórem na papierze. Są to prace może nieco zbytnio jednotonowe w wyrazie — artysta zbyt mało mówi nam, czego najistotniej szuka w tych miastach i w swoich pracach. Jeżeli u Czermańskiego podkreślona jest w pracach strona psychiczna, u Chrostowskiego — raczej techniczna doskonałość i poszukiwania, to wartość prac Toma leży raczej w pewnej subtelności wyczucia pejzażu małych miast.

Trudny jest do bliższego zdefinjowania cel prac Kazimierza Libina, autora całej sali portretów, wykonanych w jednym, dość monotonnym tonie brunatnym z niezmierną i zbyteczną ostrożnością prześwietlanym zrzadka tonami szaremi czy niebieskiemi. Cały wigor rysunkowy i tkwiący w pendzlu giną w tym sosie gęstej rudej farby i żal nam jest wówczas wysiłku artysty, który najwyraźniej nie zdaje sobie do tej chwili sprawy z pytania — co to jest sztuka i jakie są jej cele. A szkoda, bo Libin siedział pono trzy lata w Paryżu, gdzie mógł pozbyć się szkolnego nastawienia, jeżeli było błędne. W każdym razie prace jego dzisiejsze, w pierwszej chwili sprawiają wrażenie tężyzny, po bliższem wejrzeniu zaś — wrażenie wielkiego wysiłku, skierowanego na fałszywe tory. Ze smutkiem stwierdzam, że coraz częściej ten zarzut musimy robić właśnie młodym artystom.

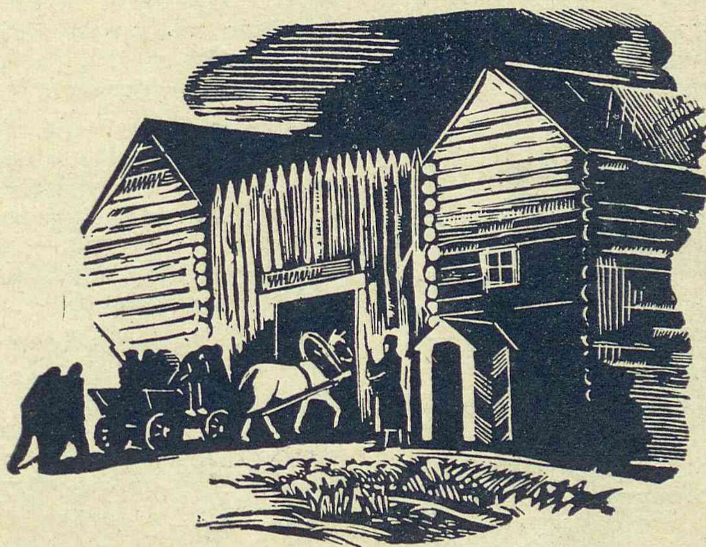


G. Chrostowski — drzeworyt.



G. Chrostowski — drzeworyt.

Natomiast obiecująco wygląda wystawa Bielskiej. Ta młoda artystka wydobywa z własnych możliwości wszystko, co tylko przy jej warunkach wychowania wydobyć można. Duża jest skala jej możliwości i tematowych i ekspresji; szkoda, że artystka ta nie wyjeżdża czemprędzej zagranicę, by przeżyć swoje „Lehrjahre" w jakiem nowem otoczeniu i w nowej atmosferze artystycznej, gdzie jej powiedzą o sztuce rzeczy inne, na których będzie mogła zmierzyć to, co do tej chwili zrobiła.



G. Chrostowski — drzeworyt.

POŁÓW  PEREŁ

Teorja względności w praktyce

Zacny proboszcz tak ze smutkiem przemówił z ambony:

„Drodzy moi parafjanie! Kiedy was widzę zajeżdżających przed świątynię Pańską waszemi wspaniałemi samochodami, zapytuję sam siebie, gdzie są ubodzy w tej parafji? Ale kiedv spoglądam potem na rezultaty kwesty — wtedy sam siebie pytam — gdzie są w tej parafji bogacze?..."

Ostrożność

Kiedy Mussolini robi zaszczyt zagranicznemu dyplomacie i przybywa do niego na obiad — rzecz coraz rzadsza — wówczas siedząca obok Duce osoba zmuszona jest jeść to samo, co on, i brać z tego samego półmiska, co szef rządu włoskiego. (Bo ma on surową djetę, której ściśle przestrzega).

Kiedy pan Ribbentropp po „dyplomatycznem" polowaniu w Łańcucie odlatywał do Niemiec z krakowskiego lotniska... samolot najpierw wzniósł się w jego oczach w powietrze, polatał sobie 10 minut —poczem dopiero pan Ribbentropp wsiadł i spokojnie odjechał.

Wiadomo — strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Ale nasi mężowie stanu są widać lekkomyślniejsi — i jakoś o takich przezornościach z ich strony nic nie słychać....

Zwłaszcza — *na terenie przyjacielskim....*

Polscy maturzyści

Oto odpowiedzi, które zanotowano ostatnio podczas piśmiennego egzaminu konkursowego na uniwersytecie w Poznaniu. Na zapytanie, kim był Pasteur, odpowiedź brzmiała: *„Odkrywcą bakcyla śmierci"*. Ten kandydat aspirował na wydział medyczny uniwersytetu!

Inni odpowiadali: „Kazimierz Pułaski — to był ten, który założył Instytut Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach".

Najlepszy jednak był ten maturzysta, który jako kompozytora „Halki" wymienił... Kościuszkę !

Stało się...

Jak donosi „ABC", aresztowano krytyka, który ośmielił się „zjeździć" sztukę wystawioną w teatrze rządowym.

Czy w Polsce?

Nie. Ironiczna propozycja Boya (stosowania wobec krytyków teatralnych represji policyjnych) znalazła w tych dniach urzeczywistnienie — w Niemczech.

Psikusy wojenne

Włochom wcale tak łatwo nie idzie w Abisynji, jak to sobie może niektórzy wyobrażali. Poza bezprzykładnem bohaterstwem tubylców, mają jeszcze włosi do zwalczenia przeszkody, których napewno nie oczekiwali. Człowiek pierwotny wynalazkom ultra - nowoczesnym przeciwstawia nietylko swą rozpacz — ale i swoją prymitywną broń instynktu i podstępu.

Jak piszą wojenni korespondenci pism angielskich, na czołgi włoskie, które miały w tej wojnie grać rolę bardzo ważną, abisyńczycy znaleźli już „sposoby".

Łapią je... w pułapki. Takie same właśnie, w jakie łapią — słonie. Kopią bardzo głębokie doły, przemyślnie zakryte warstwą gałęzi. Wpadnie taki tank — ani się obejrzy — i ma dosyć. A z załogi nikt już nie wychodzi żywy.

Pomaga tubylcom nietylko ich spryt — ale nawet... fauna własnych lasów. W pewnem groźnem przejściu włosi zostali obrzuceni kamieniami przez — stado dzikich małp. Myśląc, że to ludzie, walczyli z niemi na karabiny maszynowe. Dopiero po wystrzeleniu wielu naboi przekonali się, z kim mieli okoliczność.

Złej tanecznicy przeszkadza rąbek u spódnicy

Na wszechświatowych konkursach strzeleckich w Rzymie strzelcy nasi zajęli dość mizerne miejsca. Po powrocie tłomaczyli się dziwnie. Że niby strzelców mamy doskonałych. Tylko broń mamy okropną. Ile razy strzelali z cudzej broni — szło dobrze. Ile razy z naszej — fatalnie.

Kto im kazał *na międzynarodowe konkursy właśnie taką broń zabierać.*

P. S.

Nasi jeźdźcy, kiedy minęły lata powodzenia i gdy zaczęli schodzić w konkursach międzynarodowych na coraz dalsze miejsca — stale odpowiadali to samo: my jeździć umiemy... tylko *mamy nieodpowiednie konie.*

Hucpa

Wiadomo, czem jest klaka. Publiczność może nawet nie wie o tem dokładnie — tak od strony podszewki. Wyjaśnił to w tych dniach szczegółowo p. Wiktor Budzyński w feljetonie, zamieszczonym przez jedno z pism prowincjonalnych. Klaka, jak pisze z doświadczenia — to nierzadko szantaż. To *nietylko płatne oklaski* na zamówienie. Ale czasem *gwizd na widowni*, jeśli aktor nie chce klaki opłacić. Słowem — pod każdym względem instytucja, której zapach moralny skłania ludzi o wrażliwem powonieniu do odwracania nosa w inną stronę.

Cóż jednak czytamy w ostatnich dniach w pismach codziennych ?

Oto panowie klakierzy warszawscy złożyli do władz podanie o... zalegalizowanie ich jako związku zawodowego.

Naturalnie władze odmówiły.

Tembardziej, że związek klakierów chciał być zarejestrowany, jako „Towarzystwo Popierania Scenv i Estrady"!!!

Haste gewidziałt tę hucpę?

Męczennice domowe

Wiadomo, czem są w Polsce tak zwane uprzejmie „pomocnice domowe" — czyli przeważnie „popychadła do niczego". Czem są „męczennice domowe" — jeszcze nie wiadomo. Niewiadomo dlatego, że ten termin ukuliśmy w tej chwili.

„Męczennice domowe" — to panie domu w Polsce. Właśnie z racji owych „pomocnic domowych".

„Pomocnica domowa" — rzecz jasna, nic nie umie. Ale, co lepsze — *niczego się nie chce nauczyć!* W sezonie bieżącym „Związek Pań Domu" — instytucja niezwykle pożyteczna — obmyślił i zorganizował kursy kształcące dla początkujących „pomocnic domowych" — kursy, które miały dziewczętom umożliwiać jednoczesną pracę zarobkową, bo nauka, za zgodą pań domu, miała się odbywać w godzinach wieczornych. Proszę zgadnąć, ile na te kursy zgłosiło się Maryś, żądnych wiedzy?

Cztery...

Na przeszło miljonowe miasto, w którem pracuje kilkadziesiąt tysięcy dziewczyn „do niczego".

Bociany na torpedowcu

W drodze ku Kanałowi Suezkiemu, na morzu Śródziemnem, angielski torpedowiec „Warwick" otrzymał miłą a niespodziewaną wizytę. Stado bocianów, lecące ku Afryce i niezmiernie trudnym lotem znużone, opadło na pokład torpedowca. Anglicy, jak wiadomo, kochają naprawdę zwierzęta. Nakarmili zgłodniałe ptaki, nacieszyli się ich wizytą, jak dzieci.

A kiedy po kilku godzinach wypoczęte boćki ruszyły w dalszą drogę, marynarze na poczekaniu skomponowali z okazji tej wizyty piosenkę, która stanie się napewno popularną w całej angielskiej flocie.

Forma a treść

Często chcielibyśmy jaknajlepiej, ale —

Ale nierzadko forma zabija treść. A „koszty administracyjne" zabijają pomysł złożenia hołdu wielkiemu człowiekowi.

Tak było z uczczeniem Czarneckiego. Kiedy powstała myśl wzniesienia pomnika świetnemu hetmanowi w 270 rocznicę jego śmierci, utworzono przed trzema laty komitet budowy. Dysproporcje jednak bywają takie: *pensja sekretarza biura* wyniosła przez te trzy lata *około 6000 złotych. Koszt tablicy pamiątkowej Czarneckiego — 1000 zł.*

Tak pisze „I. K. C.". Nie znaleźliśmy na ten temat żadnego zaprzeczenia. Jeżeli te dane odpowiadają istotnemu stanowi rzeczy — to nazwać to można, łagodnie mówiąc — skandalem.

Prawdziwa mądrość wychowawcy

Zdaje się, że nie doceniamy anglików. Polak przeważnie myśli: pudding, golf, fajka, wieczorny smoking, ranna kąpiel — to zainteresowania anglika. Czy doprawdy nic więcej?

Z czegoś przecie powstało to niesamowite Imperjum... I czemś się jeszcze trzyma... Że angielskim mężom stanu nie brak rozumu, dowodzi odpowiedź, jakiej udzielił w tych dniach w Londynie minister oświaty na interpelację w parlamencie. Któryś z posłów oskarżał mianowicie pewnego inspektora szkolnego, że nie wpaja w dzieci dość mocno uczuć dynastyczno-patrjotycznych, że słowem nie uczy dzieci, jak mają myśleć.

Minister odparł spokojnie:

„Dzieci nie trzeba uczyć, *jak mają myśleć.* Trzeba je *uczyć myśleć.... Nic więcej.*".

W dwuch słowach najistotniejsza mądrość wychowawcy, polityka, człowieka.

Co zadużo to niezdrowo

Przerost reklamiarstwa — bezczelnego, robionego przez półanalfabetów — jest utrapieniem polskiego świata filmowo-kinowego. Co film — to „przebój". Co aktorka — to „gwiazda". Co aktor — to „genjusz". Co reżyser — to „rewelacja". Ach, nie umiemy nawet tak sformułować reklamy, jak ci ludzie z kina umieją!

Czasem przecież przesolą...

W kinie „Stella" w Warszawie szedł sobie film „Tańcząca Venus". Film jak film. Ale przed kinem wtykano przechodniom karteczki tej treści: *„500 złotych otrzyma ten, kto udowodni, że widział w kinie „Stella" film o takiej wartości, jak „Tańcząca Venus"* .



Wchodzili, płacili. Głowami kręcili. Nabito ich w butelkę. Ale wychodzili i nie protestowali. Tacy już są — my polacy.

Jeden się zbuntował. Pan Michał Snarski, człek widać energiczny, poszedł do właściciela kina — i wyjawił mu, po przyjacielsku, że już lepsze filmy w tem kinie widywał. Wobec czego on, widz zawiedziony, żąda wypłaty obiecanych 500 złociszów.

Właściciel odmówił.

Pan Snarski — podał go do sądu.

I co powiecie? — Wygrał.

Dowiódł przy pomocy ekspertów — niebyle kogo, bo samego Redaktora Kończyca, speca od spraw kinowych — że szły już w tem kinie filmy lepsze. A kiedy przed sądem zbity z tropu właściciel kina tłomaczył się gęsto, że to „niby tylko taki trik reklamowy"— sąd wytłomaczył mu łagodnie, że reklama to nie wprowadzanie w błąd widza. A co obiecane, musi być dotrzymane.

I kino zapłaci obiecane lekkomyślnie 500 złotych.

Ach, kochajmy się!

Część Polski była pod uciskiem Niemiec — a jednak polacy w tym zaborze mogli czytać Sienkiewicza.

Polska odrodzona niezawsze zdradzała ku Niemcom miłość żarliwą — a jednak polacy w Niemczech mogli czytać Sienkiewicza.

Dopiero kiedy Polska dla Trzeciej Rzeszy zapałała wprost gorącym afektem, i to afektem, jak twierdzą politycy, wzajemnym — wtedy...

No cóż, wtedy polakom mieszkającym w Prusach Wschodnich władze niemieckie *zabroniły czytać Sienkiewicza.* „Krzyżacy" są tam na indeksie.

„Któżby się był spodziewał, że ofiarą dobrych stosunków polsko-niemieckich padnie wielki Sienkiewicz?" — pisze "L'Echo de Varsovie" pod uprzejmym tytułem: „Nieoczekiwane konsekwencje paktu polsko-niemieckiego".

I francuski dziennik konkluduje: „Jesteśmy zdania, że Sienkiewicz zasługiwał może na to, aby go postawić „hors concours".

Jesteśmy tego samego zdania.

Uparty nurek.



OD WARSZAWY

W KWITNĄCEJ

(Koresp. własna



AGRA — BOMBAY ROAD.

Szeroka, ruda szosa. W złotym pyle zachodu idą wozy długim szeregiem. Idą do domu na udój stada bydła, inne wracają na łąki.

We wsiach małe cielątka i koźlęta biegają przed chatą uwiązane na sznurku, a rodzicielki ich śpią smacznie w szuwarach nadrzecznych, przy drodze, na łące. Noszą duże dzwonki, by się nie zgubić od stada, a po za tem mają pełną swobodę.

Mrok już zapada. Dżungla szerokim kręgiem zamyka uprawne pola i zgiełkliwe osiedla ludzkie. Echo niesie daleko szczekanie psów, wieczorny ruch gospodarczy i dźwięki modlitewnych tamtamów. Zgasło słońce, ucicha gwar.

Skraj dżungli. Pole. Dalej wieś. Z gąszcza wyskakuje na drogę jeden, drugi, pięćdziesiąty, szary, zwięzły cień. Dziki. Ogromnem stadem przebiegają drogę. Szerokim łukiem gnają przez pola uprawne na żer. Szosa wbija się w gęsty zwał dżungli.

Dżungla

Świątynia w Thodaga

...zakwitła złotem ciężkich, zmysłowych kwiatów...



Szukamy miejsca na nocleg. Nie sposób wedrzeć się bez noża w splątany gąszcz. Tygrysią czy ludzką ścieżką wkradamy się pod konary rozłożystych drzew. Każdy nasz krok budzi tysiące ptaków. Z łopotem skrzydeł, piskiem i wrzaskiem uciekają spłoszone w głąb dżungli. Pod pierwszem rozłożystem drzewem, skryci w olbrzymich trawach, rozbijamy obóz. Kołysze nas do snu wycie szakali.

Gdy mrok zapada, szakale plączą się po drogach, jak psy. Sępy siedzą stadami na drzewach. Nie znają lęku przed ludźmi ci sprzątacze kraju. Padnie bawół w zaprzęgu, wielbłąd, osioł, pies —człowiek, zniszczony pracą, odsuwa się ścierwo na brzeg pięknej szosy. Nie grzebie nikt. Po co? Poleży najwyżej jeden dzień do nocy. Natychmiast zwołują się ze wszystkich stron na ucztę grabarze. Nazajutrz lśnią w słońcu białe kości.

Droga przedziera się przez dżunglę. Nieraz znów na cały dzień wypada na pola uprawne, by z powrotem zatonąć w dzikim gąszczu.

Rzek i strumieni coraz więcej. Wszystkie, wraz z nami, biegną do morza. Na nich stare mosty. Pagody. Krużganki. Szerokie schody kamienne. U stóp mostu tarasami schodzi do wody świątynia. Pod rytm bębnów i piszczałek tańczą dzieci nad błękitną rzeką na cześć bogom.

W starych kapliczkach, rzeźbionych w małpy i jaszczurki, skryły się prymitywne świątki przydrożne. Czasem tylko kamień pomalowany na czerwono przeżutym betelem — symbol Shiwy. W jednej kapliczce śmieje się bóg-małpa, w innej Shiwa grozi mieczem, a przed każdą wykuty z kamienia ciołek. Bo krowa w Indjach jest najświętszem stworzeniem, bardziej świętem, niż nietykalny kobra.

Dżungla wypiera pole, panoszy się coraz szerszym kręgiem. Coraz dziksza.

Na drogach wozy w formie arki Noego wiozą całe rodziny dżunglowych piękności, z ogromnemi kołami w nosach. Dzieci czarne, nagie. Kępka włosów na środku ogolonego łebka — istne murzynięta.

W upalne południe przemknęliśmy w pyle przez ludne, fabryczne Indore. Gnaliśmy przez pola i dżungle. Zapadał mrok. Wschodziło słońce.

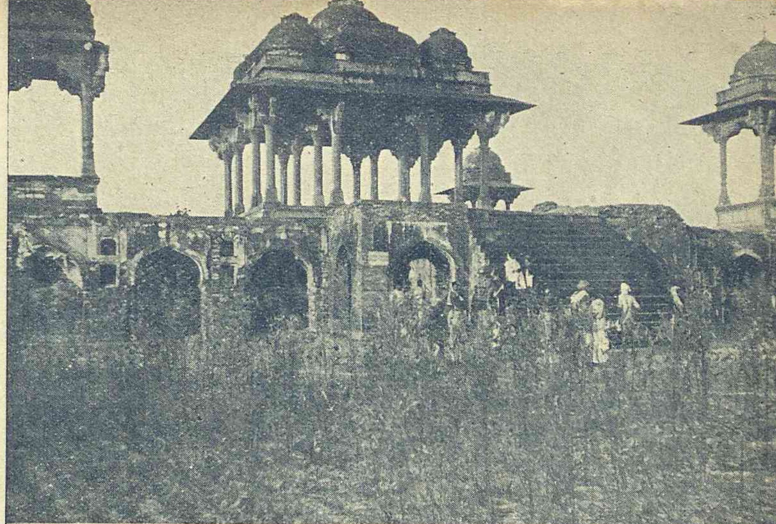
Już Nasik City, stare miasteczko świątyń, po za nami, — Bombay blizko.

DO SZANGHAJU

DŻUNGLI

„Świata"





Grobowiec Itbari Khana (Agra)

Przydrożny świątek

W KWITNĄCEJ DŻUNGLI.

Zakwitła wreszcie przed nami purpurą i złotem ciężkich, zmysłowych kwiatów prawdziwa indyjska dżungla. W nieprzytomnem kłębowisku zieleni burzanów, krzewów, sztywnych kaktusów, olbrzymich traw, łopuszasto - liściastych drzew i niebotycznych, rozstrzępionych palm.

Stylizowane, pogięte, nagie, popielate pręty gałęzi, a na nich ciężar złota i purpury. Maleńkie, kolorowe kolibri piją miód, tonąc w kielichach. Ze wzniesionemi do góry dzióbkami upijają się słodyczą wiosny.

Zresztą czy tylko maleńkie kolibri. Zleciały się z pola stada zielonych papużek. Przyleciały chmary przeróżnych ptasząt i ptaków na ucztę wiosny. Nawet wrona z niezgrabnym wdziękiem zagląda do purpurowego kielicha.

A dołem w zwartym gąszczu kwitną sztywne kaktusy. Tam na uschłych liściach łopuszastych drzew szeleści srebrną łuską niewidzialny kobra. Mangus trze nosek łapką, siedząc na grubym ogonie. Szmyrgają szare wiewióreczki w czarne pasy.

Płowe langury kołyszą się na czubach palm. Z piskiem całe stado buszuje po dżungli. Z ogonem tryumfalnie przerzuconym przez głowę przebiegają szeregiem przez drogę. Chyboczą wierzchołkami drzew, robiąc sobie z nich karuzele i huśtawki. Hałas, chrzęsty. Piski i pokrzykiwania.

W upalnej ciszy południa drzemie zmęczona dżungla. W błękitnem zwierciadle wody przeglądają się wysmukłe palmy. Brodzą poważnie długonogie, białe czaple i czarne bociany. Z szerokiego rozlewiska wymyka się wązki strumień i ginie w płowych burzanach.

Skraj lasu. Parę trzcinowych szałasów przysiadło w burzanach strumienia. To wieś w dżungli.

Wygodnie rozciągnięty na piasku szosy czai się wspaniały kot. Płowa pantera w czarne centki przymrużonemi oczami śledzi motor — nieznaną zabawkę. Gwałtowny ruch do strzelby. Spłoszył się. Jednym potężnym susem znika w burzanach. Biegniemy za nim. Nie widać nic. Trawa nawet nie drga. Jeszcze raz mignął w skoku. Jeszcze raz w całej okazałości stanął na skraju lasu. Za daleko na strzał. Brniemy w głąb dżungli. Napróżno. Poszedł w stronę gór.

Fantastyczną, połamaną linją nagich, płowych skał wyrasta z gąszczu dżungli łańcuch gór Satpura.

Gór, rzeźbionych w piaskowcu, jak stare świątynie hinduskie. Gór zdobnych w sztywną dekorację kaktusów.

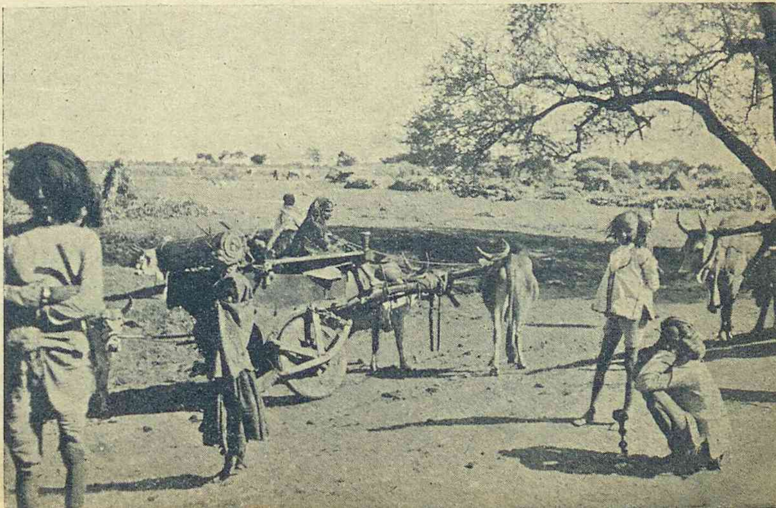
Olbrzymie, pogięte pokracznie, wdzierają się w każdy załom skalny. Kolczastemi ramionami wpijają się w płowe głazy — i płoną purpurą mięsistych, otwartych kielichów.

W załomach skał, w płomiennym gąszczu sztywnych krzewów, prymitywne, malowane świątki. Na szczytach gór, gdzieś wysoko na kamiennych żlebach zczerniałe, stare świątynie śmieją się do słońca chimerami małp, węży i słoni.

Halina Korolec - Bujakowska

Bombaj.

...idą wozy długim szeregiem...



WESOŁA FALA

CURIOSA

Wyjątki z powieści czyli t. zw. „romansu“ niejakiego p. Emdena p. t. „Serce do wynajęcia“.

SUBTELNOŚĆ KOBIECA.

...poznała po sposobie dzwonienia i krzyknęła przerażona — Mój narzeczony!

OCZY UKRYTE W FILIŻANCE.

...spłonęła jak polna róża i ukryła wstydliwie chabrowe oczęta w filiżance czekolady.

TOPOGRAFJA BIODER.

Oczy Romana rozgorzały fosforycznym blaskiem, prześlizgując się chciwie po linji marmurowych ud, falistych bioder i kusząco zarysowanych pod obcisłą tkaniną piersi.

ŻAR MIŁOŚCI.

Sparzył jej plecy gorący oddech jego ust.

OSZOŁOMIONY OBUCH.

To, co usłyszał, wstrząsnęło nim do głębi, poprostu był oszołomiony, jak uderzenie obucha.

* * *

André Maurois „Oddech wojny“ w autoryzowanym przekładzie Heleny Hellerówny.

BANAN I JEGO ŁUPA.

Młoda małpa, która ma głębokie przywiązanie dla starego samca danego plemienia, widzi, jak on potyka się na łupie banana, obawia się wypadku i pierś jej nabrzmiewa przerażeniem.

GŁOWA DO WSZYSTKIEGO.

Za chwilę w drzwiach sługusa głowa—
przyniesie mi stare dzienniki:
stare rozmowy starych pryków...

ZASTĘPCZYNI BUDZIKA
W ŚWIATOWYCH SUKNIACH.

„O, ty, dojrzała w swym sklepiku,
ty o nabrzmiałych piersi gronach
i ty zastępczyni budzika
o nagich, silnych ramionach!

Nauczycielko z oczyma
przymrużonemi i w światowych
[sukniach,
co posiadałaś pianino
i ręce długie i smukłe!

W. Ł.

PIĘKNA PARA

Cóż to za chłopiec strojny i młody,
jakaż to przy nim dziewica,
na piłki nożnej przyszli zawody,
radość ozdabia ich lica.

Mecz się już kończy. Bramka jedyna
„jeden do zera“ — wygrana,
na to z uśmiechem młoda dziewczyna
szepcze do swego młodziana:

„Jeden do zera — mało w tem treści,
nam przytrafiło się więcej:
za małą sumę złotych czterdzieści
wygraliśmy sto tysięcy“.

ECYKLOPEDIA POLONICA

(Ciąg dalszy).

Architektura — budownictwo, sztuką staje się w czasie kryzysu.
Balet — opera głuchych.
Bramin — stróż, czyli dozorca.
Cukier — nazwisko.
Con amore — zakochany Kon.
Grzechotka — mała grzesznica.
Hugonoci — wielbiciele Wiktora Hugo.
Hamak — syn chama.
Kuper — artysta filmowy.
Krematorjum — fabryka kremu.
Moniuszko — zdrobniale od Moniek.
Magnat — człowiek mający chudą żonę.
Noc — pora, którą równie dobrze można poświęcić na spanie.
Oleodruk — Rembrandt za dwa złote.
Pagoda — błąd, należy mówić pogoda.
Panneau — z francuska piąty przypadek od panna.
Paragraf — dwóch grafów.
Pax — pokój, okres przygotowawczy do następnej wojny.
Pesymista — człowiek, który zbyt długo przebywał w towarzystwie optymisty.
Pentametr — pięć metrów.
Piece — (czyt. pies), gatunek zwierzęcia np. dog, wyżeł, jamnik.
Purysta — zwolennik czystej.
Platfus — człowiek, żyjący na szerokiej stopie.
Quaker oats — wprawka językowa dla jąkałów.
Quid novi — nowy kwit.
Reformator — sprzedawca damskiej bielizny.
Ręce — przy sobie.
Reprodukcja — naturalny przyrost ludności.
Utrakwista — utracjusz, hulaka.

„Drobiazgi wytworne“

Wyjątek z powieści: Karawana posuwała się już ostatkiem sił. Wszyscy konali z pragnienia. Niewiadomo, jakby się zakończyła cała wyprawa, gdyby nie to, że jeden z przewodników był hydrocefalem. Wytoczono więc mu wodę z głowy i ugaszono pragnienie.

* * *

Różnica między starym Anglikiem a starym Turkiem: Anglik nosi faworyty po bokach, a Turek chodzi z faworytami u boku.

* * *

Podobno w związku z porą deszczową, panującą obecnie w Abisynji, władze włoskie, prócz transportów broni i materjału wojennego, wysyłają do Afryki olbrzymie ilości parasoli dla swych żołnierzy.

W. Łukcsik

WITOLD BUNIKIEWICZ

ŻYCIE W KOLORACH

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach", której druk rozpoczęliśmy w październiku.

Mamunia straciła także humor i zaraz po śniadaniu poprosiła pannę Annę do swego pokoju, a nam zapowiedziała, że pojedziemy do internatu księży, gdzie mieszka dużo chłopców, a ojcowie są dobrzy i umieją wychowywać gorszych jeszcze od nas urwisów.

Bardzo się zmartwiłem tą wiadomością, bo żal mi było mamuni i tatusia, Staśka, syna ogrodnika, kasztanki, królików i psa Łapaja, a pozatem niepokoiły mnie przypuszczenia, że księża zrobią ze mnie zakonnika, a ja wcale nie mam chęci do klasztoru i wolę być ułanem, lub dorożkarzem, gdyż nie rozstanę się wtedy do końca życia z Kasztanką, którą podarował mi tatuś, gdy skończyłem rok dziewiąty.

Władek natomiast był w swoim żywiole. Ubrał się w ornat, posklejał infułę, nadwyrężoną nieco w dyspucie o przewagę nad władzą świecką, i wyśpiewywał na wszystkie tony: Dominus vobiscum:

Po rozmowie z mamunią pośpiesznie spakowała panna Anna swe rzeczy i jeszcze przed obiadem odjechała na stację kolejową.

Opuściła nas na zawsze.

Tatuś serdecznie uśmiał się z całego zdarzenia i obiecał mi kupić na wakacje prawdziwą strzelbę, a Władkowi kucyka, albowiem pora najwyższa, aby dosiadał żywego konia.

Zaś dziaduś Feliks pogłaskał nas obu po czuprynie i rzekł, że w szkole damy sobie radę, bo nie opuszcza nas fantazja.

Pierwszy raz w życiu nie złajano nas za okazane męstwo, więc spozieraliśmy dumnie, jako bohaterowie po odniesionem zwycięstwie.

Czas szybko mijał i pewnego wieczora zapowiedział tatuś:

— Pojutrze odjedziecie do Lwowa!

Pozostawał więc ostatni dzień wolności. Władek gwizdał wesoło i promieniał z ochoty, łzy zaś kręciły się w mych oczach, gdy uściskałem na pożegnanie Staśka.

Z Kasztanką i Łapajem nie mogłem się rozstać, obejmowałem oboje za szyję i całowałem po mordach, polecając mych przyjaciół opiece wszystkich domowników, którzy byli również zasmuceni.

Nawet stara Grzegorzowa nie gderała, jak zwykle, lecz okazywała nam współczucie, że odjeżdżamy do szkoły, gdzie nie czekają nas rozkosze, lecz twarda dola ucznia.

Nazajutrz wystroiliśmy się w odświętne ubrania, a mamunia obdarzyła nas nowemi czapkami z białego baranka, bo zima była w pełni i zaczął się dopiero luty.

Wolałbym dostać nowe czako ułańskie, ozdobione sznurami i puszystą kitą, ale przecież w takiem okryciu nie mogłem jechać do szkoły.

Natomiast Władek niezmiernie ucieszył się podarunkiem i włożywszy czapę na bakier, nie chciał się z nią rozstawać ani na mgnienie oka, co chwila stawał przed lustrem i układał ją w fantastyczne formy, zsuwając na tył lub czub głowy.

Ceremonja pożegnań i odjazdu odbyła się szybko i bez rzewnych napomnień, a żal mój przeobraził się w zupełną obojętność, streszczając się w uczuciu: wszystko mi już jedno!

Władka nie opuszczał animusz ani na chwilę, a gdy zajechały pod ganek sanie, wdrapał się na kozioł i cmokał na konie, gdyż nie mógł doczekać się jazdy.

Przy wsiadaniu do pociągu wywiązała się mała wymiana zdań między jakąś damą w zamaszystym kapeluszu ze wstążkami, która nie chciała nas wpuścić do wagonu, albowiem przedział był wyłącznie dla pań, a my przecież nie wyglądaliśmy po babsku.

Ostatecznie drobne nieporozumienie zakończyło się pomyślnie, a Władek po raz pierwszy nazwany mężczyzną starał się być pełnym godności męskiej i ugrzecznienia.

Więc gdy damie w zamaszystym kapeluszu z wstążkami wypadło z ręki puzderko, natychmiast schylił się, aby je podnieść, przyczem udeptał tak okropnie mamunię i trzy jeszcze inne sąsiadki w najdotkliwsze odciski na nogach, że zerwały się z siedzeń, jak oparzone, sycząc i rozcierając obolałe miejsca.

Z tego też powodu wyrzucono Władka na korytarz, a ja miałem pilnować, aby zachowywał się grzecznie i nie oddalał się od drzwi przedziału.

Stać na jednem miejscu i patrzeć w zamarznięte szyby jest bardzo nudnie, zwłaszcza, gdy za oknem rozciąga się świat nowy i nieznany, pełen wszelakich niespodzianek.

Na szczęście, zjawił się na korytarzu jakiś gruby pan i głośno sapiąc i narzekając na gorąco uchylił szybę wagonu.

Odetchnęliśmy z zadowolenia.

Tak cudnie było na świecie, biało i puszysto, a słupy telegraficzne, drzewa i domy śmigały przed oczyma w galopie, grzechot zaś kół o szyny wydał się nam uroczą i nigdy nie słyszaną dotąd harmonją. Jak te koła się kręcą? Jak pędzą w odległe przestrzenie?

Wysunęliśmy głowy przez okno, aby dostrzec, jak kręcą się żelazne koliska, wiozące nas w świat nowych złudzeń i niewiadomych przeżyć, wtem straszliwy jęk buchnął nad mem uchem:

— Stój! Stój!

Zanim zdołałem zrozumieć, co się stało, prześliczna barankowa czapa mignęła w powietrzu i wolno opadła na zaspę śniegu.

Władek patrzał na mnie przerażonem spojrzeniem, a ręką dotykał głowy, jakby chciał sprawdzić, czy śni na jawie, czy też naprawdę utracił czapkę.

Nie domacawszy się baranka, runął jak burza do przedziału pań i zawołał najżałośniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałem:

— Mamo, nieszczęście! Już nie mam czapki!

Na twarzy jego malowała się jeszcze ostatnia nadzieja, że mamunia każe pociąg zatrzymać i pozwoli mu pobiec po zgubę.

Spotkał go jednak zawód.

Mamunia wypowiedziała jakieś zdanie o wścibskich i głupich chłopcach, przeto usiadł zmiażdżony na ławce i pogrążył się w ciężkiej zadumie.

Nie mogła go wyrwać z najgorszego humoru pani w zamaszystym kapeluszu z wstążkami, choć wyjęła z torebki paczkę cukierków i uprzejmie prosiła:

— Niech kawaler spróbuje na pocieszenie!

Władek ani mrugnął okiem, lecz odrzekł stanowczym tonem:

— Dziękuję, nie jestem głodny.

Czuł najwyraźniej żal do starszych, że nie zatrzymali pociągu i nie mógł odzyskać swej zguby.

Gdy pociąg zatrzymał się we Lwowie, zapadło postanowienie mamuni, że z własnych oszczędności, które miał przeznaczone na łakocie, będzie musiał kupić nową czapkę.

Trudno, kto traci, ten płaci.

Więc choć znacznie stopniał skarb Władka, przystał na tę ostateczność, gdyż z gołą głową nie mógł stawić się w szkole.

*

* *

Ścisnęło mnie za gardło, gdy przestąpiłem próg internatu.

U furty zmierzył nas słodkiem spojrzeniem brat Franciszek, długi, jak tyka chmielu, ale zaraz wyczytałem z jego oczu, że z takim niema żartów i najlepszy biegacz nie sprosta jego długim nogom, gdy je rozpuści do galopu.

Władek nie uczynił tego spostrzeżenia, lecz zapytał zaraz, kiedy odbędzie się uroczyste nabożeństwo, w któremby mógł wystąpić, przebrany w białą komżę i czerwoną pelerynkę.

Brat Francieszk wytłumaczył zaraz, że tylko starsi uczniowie służą do mszy, a malcy długo się muszą uczyć, zanim dostąpią tego zaszczytu.

Odpowiedź taka bardzo rozczarowała Władka.

Nie podobali mu się również koledzy, którzy od pierwszego spojrzenia przezwali go bez ceremonji mikrusem, a pewien drugoklasista pogładził go ręką pod nos, pytając, czy wie, co to znaczy fąfel.

Mnie natomiast przyjęli towarzysze znacznie uprzejmiej.

Zaimponowałem im posiadaniem scyzoryka, którym dość wprawnie rzucałem do celu.

A gdy się dowiedzieli, że pływam, jeżdżę konno, chowam króliki i najwyższe drzewo nie jest żadną przeszkodą, aby się znaleźć na jego wierzchołku, nabrali do mnie szacunku i zapoznali z przyjemnościami życia w internacie.

Ksiądz rektor jest gruby i rusza się powoli, więc niema wielkiego strachu. Byleś bracie nie przynosił ze szkoły dwój, wszystko będzie dobrze.

Gorszym jest ojciec wicerektor, a najgorszy brat Pała. Tego się wystrzegaj jak ognia.

W zeszłym roku naelektryzowali pięcioklasiści klamkę od drzwi, ale nic nie pomogło, i tak ich przyłapał, iż zamiast odrabiać lekcje grali w warcaby.

Brat Pała jest niemiłosierny. Wcale nie rozumie, że można nagle dostać bólu głowy, gdy się nie napisało zadania, lub nie nauczyło na pamięć długiego wiersza.

Choćbyś stękał jak niedźwiedź, wypędza do szkoły, pouczali doświadczeńsi koledzy.

W czasie tych pożytecznych rozmów Władek puścił się na wędrówkę po internacie.

Wszedł na pierwsze piętro, potem na drugie, zapuścił się w długi korytarz, oglądając obrazy na ścianach, zrobił nawet znajomość z pewnym maturzystą, który go objaśnił, iż w tym domu dzieje się wszystko na znak dzwonka, więc powinien się pośpieszyć do swej klasy, bo zbliża się pora wieczerzy.

A tuż obok znajdował się ów mocarz - rozkazodawca, na którego głos zmieniało się tętno życia, wybuchało ożywionym hałasem młodych gardzieli, lub milkło, jakby kosą podcięte.

Pokusa była zbyt wielka, a Władka pociągała zawsze do dzwonków nieprzeparta ochota.

Nacisnął guzik, a kilkanaście dzwonków jednocześnie zabrzmiało na korytarzach i w klasach, a z poza drzwi wysuwały się głowy chłopaków, uradowanych widocznie, iż skrócono im czas nauki.

Władek cisnął guzik z całej siły, a dzwonki grały jak opętane, wywołując powszechną uciechę i zadowolenie.

Jeden tylko brat Pała, do którego niepodzielnie należał obowiązek obsługiwania dzwonka, nie podzielał ogólnego nastroju.

Wypadł, przerażony, ze swej celi, wymachiwał gniewnie rękami, wołając:

— Przestań, przestań!

Ruchy rąk braciszka były tak burzliwe, iż Władek poczuł odrazu niebezpieczeństwo dla swych uszu, przybrał więc postawę wyczekującą, oceniając siłę i zręczność przeciwnika.

A gdy już palce brata Pały spotkać się miały z jego małżowinami, przysiadł do ziemi i dobrze obmyślanym susem wywinął się z pod groźnych rąk.

Zanim gnębiciel rozpoznał fortel, Władek znajdował się już na drugim końcu korytarza, wskoczył na poręcz schodów i z wielkim rozmachem zjechał na dół.

Wieczerza niebardzo smakowała Władkowi, a gdy o szóstej rano kazano mu wstawać z łóżka, oświadczył, że w internacie wcale mu się nie podoba, bo niema ani uroczystych nabożeństw, ani widoków na komżę i czerwoną pelerynę, a w dodatku tylko brat Pała posiada prawo dotykania dzwonków.

Co zaś się odnosi do wieczerzy, to nie jada ryżu z mięsem, lecz ze śmietaną i konfiturami.

Skoro mamunia wróciła nazajutrz do domu, Władek już siedział na ganku, gdyż trochę się obawiał wejść do mieszkania, ze względu na tatusia, oczekiwał więc przyjazdu mamuni.

W jaki sposób zdołał wydobyć się poza furtę, pozostało jego tajemnicą.

Brat Franciszek nigdy nie mógł zrozumieć, jak to się stało, choć długi czas zastanawiał się nad tem i przegapienie uważa dotąd za jeden z najcięższych grzechów swego świątobliwego żywota.

W WIĘZACH.

Mam już lat piętnaście, uczęszczam do klasy piątej i życie mi obrzydło.

Władek jest w klasie trzeciej i czyni wybitne postępy w śpiewie i w gimnastyce, natomiast gorzej mu idzie łacina, a matematyka zgoła fatalnie.

Z powodu matematyki siedzi już drugi rok w trzeciej klasie i niewiadomo, czy z niej wybrnie, bo dostał bardzo surowego nauczyciela.

Gdyby uczył go stary Piguła, albo Kosinus, mógłby otrzymać nawet bardzo dobry stopień, ale z tym młodym nauczycielem nie można sobie poradzić.

Na ściągaczkach zna się tak samo, jak każdy sztubak, migi rozumie, a o podpowiadaniu nie można nawet myśleć, bo zaraz usłyszy i wykryje sprawcę.

Dobry musiał być z niego ananas, chwała Bogu, że mnie nie uczy!

Władek ma wściekłego pecha, że dostał takiego nauczyciela.

Mnie także począł prześladować pech.

Zeszłego jeszcze roku szkolnego, w sam dzień rozdania świadectw, biegnąc przez schody, wpadłem nieostrożnie na profesora Żylarskiego.

Przytrzymał mnie za rękaw, zapisał nazwisko, a potem rzekł:

— Policzymy się na przyszły rok!

Profesor Żylarski był długi czas wychowawcą małoletnich przestępców, a ponieważ nabawił się choroby wątroby, poszedł na lżejszą służbę do gimnazjum.

Uczy nas niemieckiego.

Drżymy wszyscy na jego widok, a gdy, nie daj Boże, dostanie niestrawności, leci dwója za dwóją, bez ratunku.

Wywołał mnie zaraz pierwszej lekcji po wakacjach i kazał powtórzyć, czego uczyliśmy się podczas ostatniej lekcji niemieckiego w klasie czwartej.

Nie wiedziałem i otrzymałem przezwisko „fryga“. Zdaje się, że nie poprawię już złego stopnia, bo muszę umieć wszystkie lekcje na pamięć, na wyrywki i od początku roku.

W podobnem położeniu znajduje się również Stefek Ziemba, tylko nie robi sobie nic z tego, bo ojciec jest wysokim urzędnikiem i obiecał zaskarżyć profesora, gdyby syn otrzymał zły stopień na półrocze.

O mnie jednak nikt się nie upomni, gdyż nie mam już tatusia.

Umarł przed trzema laty, a maunia opuściła wieś i przeniosła się do sąsiedniego miasteczka.

Dziaduś Feliks sprowadził się do mamuni i zamieszkują dom, położony w dużym ogrodzie nad rzeką.

Nie jest tam tak miło, jak na wsi, ale zawsze lepiej, niż w dużem mieście, gdzie same mury i brak swobody.

Coby mi zresztą przyszło z tej swobody, gdy cały dzień muszę wkuwać się niemieckiego? Ksiądz rektor utrzymuje, że jestem leń i nie chce uwierzyć w moją pilność i starania.

Zresztą i w internacie mam wiele kłopotów. Pisuję do „Dzwonka“ i kilka razy siedziałem w kozie za autorstwo nielojalnych artykułów.

„Dzwonek“ jest pismem opozycyjnem i zwalcza „Pobudkę“, która pochlebia księżom i nawet zamieściła odę na cześć brata Pały.

„Pobudkę“ redaguje sześcioklasista Skorek, znany tchórz i lizus.

W ostatnim numerze „Dzwonka“ ogłosiłem piorunujący artykuł o jaglanej kaszy z cukrem, którą nas karmią na deser, już czwarty z rzędu piątek.

Artykuł znalazł powszechne uznanie i nawet maturzyści przychodzili do mnie z podziękowaniem za tak śmiałą i rzeczową opinję.

A właśnie dzisiaj napisał Skorek w swem piśmie, iż jagły są potrawą bogów, a każdy, kto chce być zdrów i silny, powinien je zjadać w jaknajwiększej ilości.

Jest to jedna z największych perfidyj, jakie kiedykolwiek widziałem w życiu, albowiem sam Skorek odsuwa talerz z słodką kaszą.

Pismo tego faryzeusza powstało celem wprowadzania dobrych obyczajów między uczniami.

W ostatnim bowiem czasie rozluźniła się karność i dziać się poczęły niebywałe rzeczy w internacie.

Sztuba zgrywała się w pióra i w guziki, średniacy tłukli się, aż do krwi, a uczniowie klas wyższych ćmili papierosy i urządzali po nocach bale.

Na Sylwestra hulano aż do białego rana w dużej sypialni na dole, a rolę dam odgrywali młodsi uczniowie, przepasani na lewem ramieniu ręcznikami.

Bezpieczeństwo było zapewnione.

Ojciec rektor spał zawsze smacznie i twardo, więc nie było obawy, aby się zbudził, zaś przy drzwiach księdza wicerektora ustawiono barykadę i nim by ją uprzątnięto, jużby leżeli wszyscy w łóżkach i udawali niewiniątka.

Brat Pała był również unieszkodliwiony. Poprostu drzwi podparto drągiem i mógłby w nie kołatać, aż do sądnego dnia, napewno niktby mu nie otworzył.

Całości barykady i drąga pilnowała czujka, zmieniająca się co pół godziny.

Niedługo po balu pojawiła się „Pobudka“, określająca w wstępnym artykule program swego działania.

Skorek, a może sam ksiądz rekor napisał:

— Społeczeństwa opierać się muszą na praworządności, a wyłamywanie się z pod istniejących praw jest grzechem wobec Boga i zbrodnią wobec ludzi.

Dlatego „Pobudka“ postawiła sobie za zadanie tępić nieposłuszeństwo, lenistwo, swawolę i piętnować wszystkie uczniowskie winy, nietylko jawne i duże, ale i te skryte a codzienne, które nie dochodzą do wiadomości przełożonych.

Po tej zapowiedzi nastąpiło doniesienie, że kolega Mirski z klasy VI codziennie pali papierosy w kręgielni, a dym wypuszcza przez dziurę w parkanie na sąsiedni ogród, przy pomocy wymyślonej przez siebie cygarniczki z klapą.

Postępek ten jest niebezpieczny, albowiem znalazł już naśladowców i kilku kolegów zaopatrzyło się w wynalazek Mirskiego.

Pierwszy numer „Pobudki“ wywołał bardzo różne uczucia.

Seniorowie i prymusi chwalili pismo, kilku stypendystów trzymało się w rezerwie, znaczna

zaś większość nie solidaryzowała się z pismem i nazywała je poprostu świństwem.

Wśród naprężonej sytuacji minęły trzy dni i poczęto przebąkiwać, że Skorek gromadzi druzgoczące materjały na klasę siódmą i straszliwie obabrze Julka Wyszyńskiego, który znany jest z tego, że pisuje wiersze do panien i od pół roku kocha się nieszczęśliwie w swej kuzynce Wandzi.

Z ogromną ciekawością czekaliśmy więc na „Pobudkę", która miała się ukazać w sobotę.

Spotkał nas jednak zawód.

O Wyszyńskim nie wyczytaliśmy ani jednego słowa, natomiast ośmieszono pewnego biednego sztubaczka, który przegrał wszystkie guziki od ubrania i serdecznie szlochał całą drogę ze szkoły do internatu, nie mogąc poradzić sobie z opadającemi porciętami.

Plotka publiczna donosiła, że kolegę Skorka przekupił Wyszyński, dając mu Kolumbję z mapą, Honduras i jedno rzadkie Peru. Skorek był bowiem słynnym filatelistą i posiadał duży zbiór marek, wyszachrowany przez czas swego seniorstwa od sztubaków za przemilczanie różnych uchybień w szkole.

Skorek umiał wygładzać największe przestępstwo, a drobiazgi rozdmuchiwał do zbrodni, zależnie od tego, czy winowajca urządził mu dobrą fundę na przerwie, czy też zawiódł jego oczekiwania.

Przed świętami, gdy zaświtała nadzieja wyjazdu do domu, podwajał, a nawet potrajał stawki, domagając się coraz większych podarunków.

I tak, Włodek Malczyński musiał kupić Skorkowi w przeddzień wyjazdu na Boże Narodzenie łyżwy, zdarzyło się bowiem, iż przed samemi świętami oberwał dwie dwóje.

Gdyby senior doniósł o tem księdzu rektorowi, przepadłyby święta, albowiem Włodek był słabym uczniem, a bardzo surowy ojczym zmuszał go ciężkiemi karami do nauki.

Włodek rzewnie płakał, gdy płacił za łyżwy Skorka, albowiem pieniądze te przysłała matka na kupno ozdób na choinkę dla najmłodszej siostrzyczki.

Lecz senior go uspokajał:

— Powiesz, żeś zgubił pieniądze, lub, że ci je ukradli, więc w domu uwierzą.

A zresztą, do niczego nie przymuszam. Wybieraj — święta, albo łyżwy, to moje ostatnie słowo.

Skorek był ulubieńcem ojca rektora, często chodził z nim na przechadzkę do miasta i stawiany był za wzór pilnego ucznia.

Istotnie, czynił w naukach dobre postępy, gdyż należał do tak zwanych „kujonów", szczególnie miłych naszym profesorom.

Jeden tylko Kosinus odnosił się krytycznie do Skorka i kilka razy wytknął mu wobec klasy brak bystrych sądów i zbytnią uniżoność wobec nauczyciela.

Senior pałał nienawiścią do profesora i podjudzał kolegów do najdzikszych swawoli, sam trzymając się od nich zdaleka.

Kosinus był z tego rodzaju nauczycieli, którzy nie potrafią brutalnie utrzymać karności i wydani są na łup tysiąca kawałów i złośliwości.

Cisza podczas lekcji niepokoiła go i wyprowadzała z równowagi, a najlepszą atmosferę pracy stanowił umiarkowany hałas i podochocone do swawoli twarze.

Kosinus nie lubił tylko gromadnej wrzawy i zbiorowe okrzyki wyprowadzały go z równowagi.

Bladł, tracił cierpliwość, ciskał kredą o ziemię i wygłaszał przemowę, zaczynającą się od słów:

— Osły ryczące, obłąkane hjeny, wyjce pospolite, a nie uczniowie...

Takie oracje odbywały się normalnie każdej godziny.

Kiedy Kosinus, po odpytaniu starej lekcji, zabierał się do wykładu nowej, padał z ostatnich ławek sygnał: Hurra, a cała klasa powtarzała potrzykroć, grzmiącym głosem:

— Hurra, hurra, hurra!

— Te swawole uczniowskie sprawiały, że matematyk był źle widzianym u władz i przerzucano go z jednego gimnazjum do drugiego. Wszędzie bowiem spotykało go to samo, jakby sprzysięgli się chłopcy całego świata, aby zatruć życie pedagogowi.

Pewnego dnia głupi Zbyszek Obocki wysmarował za namową Skorka krzesło profesorskie klejem pomieszanym z żółtą farbą.

Kosinus siadł i przylepił się do krzesła. Choć sytuacja była bardzo pocieszna, gdy tylna część ubrania profesora przywarła do deski i puściła dopiero wraz z kawałem oddartego sukna od spodni, to jednak większość uczniów nie uśmiechnęła się z tego dowcipu, a głupkowaty Zbyszek nie zyskał sławy bohatera klasowego.

Tylko Skorek i jego satelici zaśmiewali się do rozpuku z kłopotu Kosinusa, który nie śmiał ruszyć się z za katedry, a po skończonej lekcji czemprędzej ubrał się w palto i odjechał do domu.

Biedny nauczyciel nie doniósł nawet o tym wybryku dyrektorowi, w obawie przed kompromitacją w oczach kolegów, którzy spoglądali na niego z politowaniem, jako na człowieka źle widzianego u władzy.

Zbyszek Obocki zaskarbił sobie natomiast względy seniora i w redakcji „Pobudki" był jego prawą ręką.

Po sprawie z Julkiem Wyszyńskim stało się już jawnem, że redakcja jest przekupną i smagać będzie tylko tych, którzy nie potrafią zdobyć sobie łask redaktora.

Z ojcem rektorem nie można było mówić o tych sprawach, gdyż nie uznawał „głosu ludu" i najmniejszą opozycję łamał w zarodku postem, ciemnicą lub rózgą. Przystępniejszy natomiast był ksiądz wicerektor i jemu właśnie zwierzono się, że lud pragnie własnej prasy, którąby broniła jego interesów.

Po długich namysłach stanęło wreszcie postanowienie, że wychodzić może pismo opozycyjne, a redaktor będzie obrany przez tajne i powszechne głosowanie.

Za każde jednak uchybienie prasowe czeka go zamknięcie na całe popołudnie w piwnicy, zwanej buciarnią, gdzie czyszczono i składano zapasowe obuwie.

Burzliwe było głosowanie, po trzykroć wahał się wybór między Fredem Lewickim a Ludkiem Kostrząbem, wreszcie wola ludu rozstrzygnęła, że redaktorem będzie Fred.

d. c. n.

ŚWIAT TEATRU



Ćwiklińska i Stanisławski



Zelwerowicz i Ćwiklińska

TEATR NARODOWY: *„Pan Damazy"— komedja w 4-ch aktach Józefa Blizińskiego.*

Na dwuch scenach jednocześnie może Warszawa oglądać Blizińskiego: w teatrze Ateneum — „Marcowy kawaler" z Jaraczem; w teatrze Narodowym —„Pan Damazy" z Zelwerowiczem, dają pewną całość, pewien obraz twórczości tego typowo polskiego komedjopisarza. Wznowienia szlachetne — przedstawienia dobre — kreacje artystyczne ciekawe.

Zelwerowicz jako Pan Damazy miał ten swój wybuchowy impet, jaki wnosi do ról, gdzie temperament, krzykliwość, „złote serce", szczypta charakterystycznej podstępliwości — dają mu pole, by swą werwę, tempo, ruch mógł w pełni wyładować. Wyładowuje się więc rozrzutnie, a serdeczne ciepło i przekonywujący ton naturalności — tak właściwe temu wybitnemu artyście — jeszcze raz zespoliły się w czysto brzmiący akord artystyczny. Możnaby zapewne Pana Damazego ująć nieco inaczej, możnaby akcentować silniej inne właściwości tego szlagona. Być może. Pole do interpretacji — przez postać stworzoną przez Zelwerowicza nie zostało zamknięte. To jednak, co nam pokazał i stworzył Zelwerowicz, tworzyło całość, było konsekwentnie obmyślane i przeprowadzone.

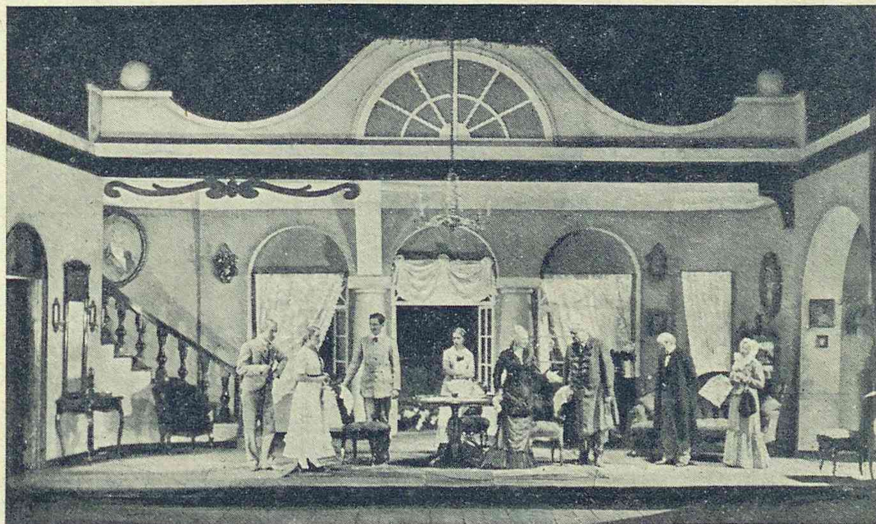
Jako reżyser Zelwerowicz też miał „swój" dzień, a raczej wieczór powodzenia. Operując prostemi środkami: właściwem tempem, maksymalną prostotą oraz nie „przegrywaniem" szczegółów —stworzył z reżyserowanej komedji całość wyrazistą, tryskającą życiem, stanowiącą ilustrację epoki. Bezpośredniości i poczuciu umiaru reżysera wielu z artystów, szczególniej młodszych, zawdzięcza poważny „przypływ naturalności". Nie mieliśmy w „Panu Damazym" — tego u-



N. Świerczewska.

przykrzonego detonowania szczerości, kiedy pod'otek na to, aby był rzekomo szczery, ma być krzykliwy, a zadzierzystość ma być okazywana bezładnem wyrzucaniem ramion, nóg i rąk!

Ćwiklińska i Stanisławski — dali nam jeszcze jedną doskonałą parę. Wszystkie walory tych znakomitych artystów zabłysły jeszcze raz. Żywość i czystość dykcji, wyrazistość mimiki, zrozumienie charakterów odtwarzanych postaci — to dawne, wypróbowane, pełnowartościowe kłosy w plonie pracy twórczej obojga. Stanisławski tym razem miał odtworzyć postać, której wiele rysów jest sprzecznych z właściwemi naturalnemi zaletami tego artysty. Akcenty wyrachowania, wkraczające w sferę, jeśli nie czarnego, to przynajmniej ciemniejszego charakteru, podkreślił on jednak udatnie, przezwyciężając tę naturalną dla siebie trudność. Swierczewska miała dobrze i dyskretnie markowany liryzm, zdobiąc go wymową



Scena z III aktu „Pana Damazego"

TYSIĄCZNE PRZEDSTAWIENIE „HALKI"

Na rozpoczęcie sezonu operowego 1935 — 1936 w Teatrze Wielkim dano „Halkę". Dzieło Moniuszki — jak głosił afisz z dnia 8 października — ukazało się na naszej scenie operowej po raz tysiączny. Piękna ta cyfra jubileuszowa — jedyna w kronikach polskiej twórczości operowej, a niezwykle rzadka w twórczości operowej powszechnej — błyszczy mocą nimbu nad cudowną postacią Stanisława Moniuszki. Tysiąc przedstawień „Halki", to nie mechaniczne zsumowanie ilości reprezentacji tego nieśmiertelnego dzieła, to coś innego, coś więcej: to wyraz niezmiennego wielbienia sztuki dźwiękowej Moniuszki przez szereg pokoleń miłośników muzyki, żywiołowy ich pęd ku prawdzie artystycznej mistrza, serdeczne przywiązanie do czystości jego poczynań, wyczarowanych z cudownego świata liryki, melodyki i rytmiki polskiej, a zrealizowanych w pięknie pieśni, szerokiej, płynnej, w zamaszystości, życiem tętniącym tańcu „ludowym" lub „szlacheckim".

Nie dziwiłby się nikt, widząc na afiszu tegorocznym „Halki" cyfrę 2000, 3000, albo jeszcze wyższą, bo stanowiłyby one liczbowy wykładnik umiłowania „Halki". Byłoby to rzeczą naturalną, bowiem od momentu zjawienia się jej na deskach Teatru Wielkiego, t. j. od dn. 1 stycznia 1858 roku, po dzień dzisiejszy, upłynęło już lat 77, to znaczy, że średnio ukazywała się „Halka" na scenie stołecznej nie więcej, jak 13 razy rocznie....

*

Inaugurowanie sezonu operowego dziełem Moniuszkowskiem stanowi zawsze posunięcie szczęśliwe, poczytywane być winno za ładny gest kierownictwa pierwszego „Domu" Opery polskiej. Specjalny jednak obowiązek — całkiem naturalny — ciąży na tem kierownictwie (a w szczególności w wypadku, kiedy przedstawienie posiada charakter jubileuszowy) wyprowadzenia opery Moniuszki na pełne wody doskonałości realizacyjnej.

Tym razem, niestety, tak się nie stało. Niejedno „ale" tamowało wolny, pełny bieg artystycznej myśli twórcy. Przedewszystkiem przeszkodę stanowili w tym przypadku soliści częściowo z własnej winy, częściowo zaś z winy reżyserskiej. Rejestr niedociągnięć wokalnych i aktorskich byłby długi.

Trzeba dodać, że większość występujących śpiewaków w „Halce" posiada talent wokalny, a niektórzy z nich i umiejętność pogłębioną, ale w swej większości są oni nowicjuszami na scenie wogóle, względnie na naszej scenie.

Bezwątpienia trudna jest, arcytrudna rola kierownika Opery stołecznej, zmuszonego pracować w warunkach ekonomicznych i ogólnie artystycznych ciężkich i nienormalnych, rola mająca za zadanie dać maksimum wysiłku artystycznego przy minimum możliwości finansowych. Inna kwestja, że słuchacz, publiczność operowa (plus „kandydaci" na tę publiczność—tych kierownictwo opery winno mieć bardzo blisko przed oczami) nie jest skłonna do wdawania się w rozmaite rozważania „zakulisowe", lecz pragnie jednej rzeczy: dobrego *pod każdym względem* przedstawienia. Stanowi to jej przywilej i prawo. Nie trzeba podkreślać, że właściwe czynniki operowe uznać muszą te prerogatywy za całkiem usprawiedliwione.

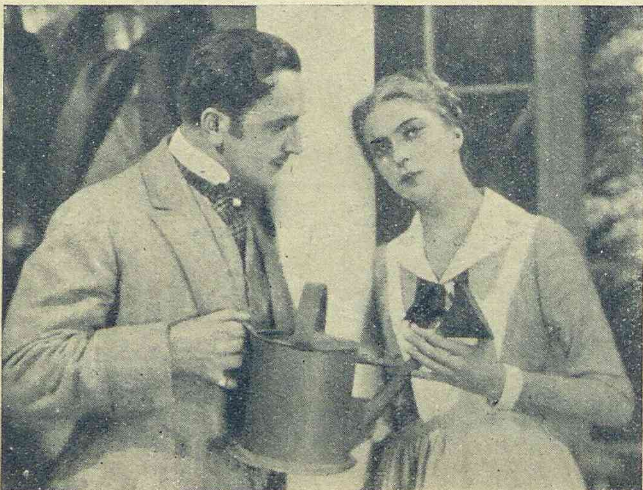
L. Binental.

---

swego spojrzenia i urody. Krzymuska jak zwykle staranna, wyrazista i dobra w charakteryzacji. Żeliska — przy dobrej reżyserji — wykazała, że nie obce jej są umiar i szczerość, Wesołowski — opanowany w swym komizmie, dobry i nie rezonerski, a Pawłowski i Pichelski poprawni i staranni — tworzyli wszyscy razem dobrą całość.

L. Ch.

Nina Świerczewska i Wesołowski



Zelwerowicz jako „Pan Damazy"



TYSIĄCZNE PRZEDSTAWIENIE „HALKI"



Rivoli, pierwsza odtwórczyni roli Halki.



Janina Korolewiczówna, która śpiewała rolę Halki na jubileuszowem 500-nem przedstawieniu w 1900 roku.



Słynny tenor Dobrski, w roli Jontka.

TEATR WIELKI.

W niedzielę. 9 grudnia 1900 r

HALKA

Opera w 4 aktach. Słowa Włodz. Wolskiego
Muzyka Stanisława Moniuszki

Przed rozpoczęciem opery, z powodu **500**-go przedstawienia „Halki". nastąpi uroczyste uwieńczenie biustu ś. p. **St. Moniuszki** przez cały personel teatralny, który na zakończenie uroczystości odśpiewa kantatę z op. „Verbum nobile" ze słowami p. Piotra Maszyńskiego.

Stolnik — — —	pan Chodakowski
Zofja, jego córka —	panna Skulska.
Janusz — — —	p. Grąbczewski
Halka { wieśniacy —	p **Korolewiczówna**
Jontek { ze wsi Janusza —	p. **Florjański**
Dziemba, poufały stolnika	pan Kawalski.
Dudziarz — —	pan Dyliński.
Pasterz — —	pan Wołoszko
Szlachta }	p Wołoszko
	p. Szaniawski
Dwu-śpiew za sceną w akcie 4-ym	{ pani Marszałkowska
	p-na Ulbrychówna.

Goście. Druchny—służba—górale i góralki.
Rzecz w zeszłem stuleciu.

Solo wiolonczelowe w akcie 4 odegra p. Zink.

Afisz opery „Halka" Moniuszki.

CZY WYPUŚCIĆ TAKŻE TRĘDOWATYCH I OBŁĄKANYCH?

OD REDAKCJI.

Otrzymaliśmy i podajemy bez komentarzy list jednego z naszych czytelników, dotyczący sprawy bolesnej a nawet tragicznej — której jednak, jak słusznie pisze p. Kowalski, histerycznem litosierdziem zbywać nie wolno.

Szanowny Panie Redaktorze!

Wobec tego, że „Świat" zawsze gościnnie udziela miejsca głosom społeczeństwa w różnych sprawach znaczenia ogólnego, będąc stałym czytelnikiem Pańskiego pisma, ośmielam się zabrać głos w pewnej doniosłej sprawie. Wyczytałem w „Kurjerze Porannym" z dnia 8 października artykuł wstępny (pana Rzymowskiego, Akademika Literatury)— nawołujący o amnestję, pod tytułem: *„To — nie postulat. To konieczność".*

Z artykułu tego dowiedziałem się rzeczy strasznej: oto w Polsce przestępców uwięzionych jest w tej chwili 56 tysięcy! Skazanych na więzienie wyrokami sądowemi, *ale nie odsiadujących kary z powodu braku miejsca,* jest pozatem 130 tysięcy! Ci, którzy karę odbywają, gnieżdżą się w pomieszczeniach zbyt ciasnych, obliczonych na połowę obecnej ich ilości.

Co myśli „szary człowiek", jak ja, przeczytawszy takie straszne dane?

Myśli, że, niestety produkujemy nadmiar złoczyńców. Bo przecie do więzienia nie idzie się w Polsce z fantazji sędziego, który u nas *odznacza się zawsze stosunkiem humanitarnym* i może raczej nadmierną wyrozumiałością wobec przestępców. Do więzienia nie trafi żaden uczciwy, pracujący obywatel kraju, który chce tylko jednego: aby mu dano możność spokojnej pracy. Przestępca zaś podrywa zasady porządku i prawa, godzi w życie i mienie pracującej, pożytecznej części społeczeństwa.

Dla zwalczania przestępstwa *jako zarazy moralnej* mamy w XX-ym wieku jeden tylko sposób: *odseparowania* przestępców przynajmniej na czas jakiś od reszty społeczeństwa, *tak jak się trzyma oddzielnie obłąkanych czy trędowatych,* tyfusowych, czy cholerycznych — *aby nie zagrażali zdrowym.*

Na „najszerzej pojętą amnestję" dla przestępców kryminalnych, proponowaną przez pana Rzymowskiego, trudno się zgodzić spokojnemu obywatelowi, który wówczas, bardziej jeszcze niż dzisiaj, żyć będzie pod terorem mętów społecznych, zagrażających jego mieniu i życiu. Pan Akademik Rzymowski, mieszkając zapewne w stolicy, nie jest narażony między ulicą Mazowiecką a Krakowskiem Przedmieściem na napady rabunkowe ani w dzień ani w nocy. My, mieszkańcy prowincji, zarówno w miasteczkach, jak zwłaszcza na wsi, nie mamy wcale tego bezpieczeństwa. A zresztą — i stolica, jeśli wyjść trochę dalej poza centrum, czyż daje taką zupełną gwarancję bezpieczeństwa? Jeżeli pan Rzymowski spobuje przejść się gdzieś po przedpieklach Targówka, po pustkowiach Saskiej Kępy, czy Ochoty — jeżeli przejdzie się tam w zasobnem futrze i ze złotym zegarkiem, tak między północą a świtem — to nie mam pewności, czy z takiej wyprawy wróci w futrze i z zegarkiem. A cóż dopiero my — na prowincji....

Pan Rzymowski pewno wcale nie wie, że chłop na wsi nigdy dziś nie ma pewności, czy nocą nie wtargnie do jego chałupy przez wybite okno opryszek, który mu zrabuje ostatnie parę złotych. Czy ze stajni nie wyprowadzą mu konia, a krowy z obory. Czy z pola nie wywiozą mu ukopanych tylko co kartofli. Czy mu z zemsty nie podpalą stogu albo sterty —plonu całorocznej pracy znękanego nędzą chłopa. Czy go, jadącego wozem z targu, nie zabiją w celach grabieży. Czy mu po pijanemu nie rozłupie głowy nożem lub siekierą pierwszy lepszy spotkany na szosie opryszek. Pan Akademik nie wie, że na prowincji śpi się jednem okiem, z rewolwerem pod poduszką, w ciągłem czujnem oczekiwaniu tego, co może nastąpić. Że stróż nocny chłopa— jego pies — bywa w bestjalski sposób zatruty albo zatłuczony, jeżeli tak złoczyńcom trzeba.

Tak — w tych warunkach trzeba samemu żyć, aby wiedzieć, czem byłoby dla kraju, dla jego olbrzymiej większości, dla 9/10 mieszkańców — takie wypuszczenie z więzień kryminalistów z powodów „humanitarnych".

Z dwojga złego trzeba chyba wybierać mniejsze: jeżeli 56 + 130 tysięcy, czyli razem 186 tysięcy stwierdzonych złoczyńców w Polsce w tej chwili istnieje, to nie można ich ułaskawiać kosztem elementarnego bezpieczeństwa całej pozostałej reszty polaków, bo ta reszta — przeszło 30 miljonów ludzi, nie zasługuje na taki wątpliwy podarunek.

Należałoby spytać „szarego człowieka", o którym tak dużo się teraz pisze, czy uznałby takie postawienie sprawy za słuszne: otworzyłby oczy szeroko i znalazłby tylko taką radę: *mamy przestępców kryminalnych więcej niż gdziendziej — to budujmy dla nich więzienia.* Postawcie tych 56 tysięcy więźniów narazie do robienia pustaków — piasku w Polsce nie zabraknie, a nawet cement za jakieś zaległe podatki rząd z łatwością dostanie. Niech tych 56 tysięcy więźniów zbuduje najpierw odpowiednie pomieszczenia dla siebie samych — (to może mieć i niemałe znaczenie moralne). A potem zbudować pomieszczenia więzienne i dla reszty kryminalistów, skazanych ale chodzących na wolności, którzy drwią ze sprawiedliwości i popełniają przestępstwa w dalszym ciągu, bo czują się bezkarni, bo widzą, że społeczeństwo nie ma sposobu odseparowania ich, wyłączenia, unieruchomienia, a tem samem unieszkodliwienia choćby na jakiś czas.

To też zanim pan Akademik zaczął wołać o amnestję, która *nie mieszkańców stolicy dotknie w swych skutkach,* ale *nas, szarych ludzi z całego kraju* — powinien był raczej przeprowadzić badania, czy ten sposób rozwiązania sprawy nie przerodziłby się w *katastrofę społeczną o rozmiarach wprost nieobliczalnych.*

Nie czytuję nigdy rubryki kryminalnej w dziennikach. Mam do tego wstręt nieprzezwyciężony. Ale po artykule p. Rzymowskiego przejrzałem parę gazet z jednego tylko tygodnia: od 1-go do 7 października r. b. To, co tam znalazłem, *jest przerażające.*

Nie chcąc być gołosłownym, przytaczam tu te przestępstwa, o których znalazłem wzmianki w gazetach. Rzecz jasna, że było ich de facto znacznie więcej, gdyż nie przeglądałem całej polskiej prasy, i nie o wszystkich przecież zbrodniach pisze się w gazetach. Miejscaby na to zabrakło. Pozatem jeszcze jedno: wobec ogólnego obecnie nastawienia na obronę „szarego człowieka" — nie notowałem wcale tych przestępstw, których ofiarami padli ludzie z tak zwanych, pożal się Boże, „warstw posiadających". Napady na ziemian, na plebanje, na zamożnych kupców, na kościoły, kradzieże większe — pozostawiałem na boku. Są przecież publicyści, którzy uważają, że każdy kto ma jutro na obiad — to „krwiopijca", a ten, który mu ten obiad

zabierze, jest raczej ręką sprawiedliwości społecznej.

A przecież nie każdy złoczyńca — to Jean Valjean. Nie każdy kradnie i zabija *z głodu.* Choćby się jeszcze bardziej roztkliwiały nad więźniami zacne panie społecznice, jak p. Krahelska, która w jakimś swoim artykule napisała, że więzienia polskie pełne są ludzi najzacniejszych i najlepszych.

Ja myślałem zawsze, że w Polsce skazuje się na więzienie bandytów, zabójców, złodziei, oszustów, defraudantów grosza publicznego, przemytników, handlarzy żywym towarem i innych kryminalistów. Tymczasem z artykułu p. Krahelskiej wywnioskowałem, że my, co uczciwie pracujemy w pocie czoła i dlatego cieszymy się wolnością — powinniśmy się wstydzić wobec tych, co kradli i zabijali — i za to siedzą w więzieniu.

Ale z p. Krahelską walczyć nie zamierzam. Najoczywiściej *myśli* ona *sercem.* A jak wiadomo, nie ten organ przeznaczony jest do myślenia.

Przypuszczam, że wielu ludzi w Polsce myśli tak, jak ja: kryminalistów ułaskawiać byłoby nietylko niemoralnością— byłoby, społecznie rozumując, lekkomyślnością.

Natomiast amnestja *polityczna* byłaby przez społeczeństwo przyjęta bardzo dobrze — i na nią każdy rozumnie myślący polak się zgodzi.

A. Kowalski.

POKŁOSIE ZBRODNI Z JEDNEGO TYGODNIA

Zuchwały napad rabunkowy

na dom Jakóba Gralicera w Zwierniku w powiecie ropczyckim. Koło godziny 20-tej domowników zaalarmował huk strzałów rewolwerowych, mięszający się z równoczesnym brzękiem szyb wybijanych kulami. Po tym wstępie przez okna wtargnęło do wnętrza domu 4 drabów i po steroryzowaniu mieszkańców splądrowali dom *zabierając 50 zł.* Po dokonanym rabunku sprawcy pod osłoną nocy zbiegli. Jedna z kul raniła Jakóba Gralicera w szyję.

Złodzieje ostrzeliwali policjantów

Na gościńcu między Wrocowem a Rudnem w pow. Gródek Jagielloński patrol policyjny natknął się w nocy na kilku osobników, ukrytych w rowie. Gdy posterunkowi oświetlili ich latarnią, padły w ich stronę strzały. Rzezimieszkom udało się zbiec. Policja znalazła w rowie *porzucony przez nich łup złodziejski wartości ok. 500 zł.*

Zniszczyli sad i pobili właściciela

Do sadu Stanisława Madejskiego w Tuchnowie zakradło się pięciu sprawców, którzy poczęli zrywać owoce. Przebudzony trzaskiem łamanych gałęzi Madejski wyszedł do sadu i usiłował spłoszyć złodziei, wówczas ci rzucili się na niego i dotkliwie go pobili.

Nowy proces terorystów

Władze prokuratorskie opracowały akt oskarżenia w wielkiej sprawie terorystów, których zbrodnicza działalność przeszła wszelkie dotychczas notowane granice. Teroryści utworzyli „uliczny związek rewolucyjny".

Kupcy, nękani przez złoczyńców, którzy wybijali im szyby w sklepach, a towary oblewali naftą, milczeli, bojąc się śmierci.

Po wyłapaniu wszystkich terorystów, *zwerbowanych z pośród karanych przestępców,* cała szajka stanie wkrótce przed sądem okręgowym w Warszawie.

Hjena żerująca na bezrobotnych

W Nowem Bródnie grasował Aleksander vel Oskar Rybakowski, recte Al. Rdułtowski, podający się za porucznika. Obiecywał kolejarzom wyrobić dobre posady lub przeniesienia i na wstępne koszty pobierał zaliczki od 100 do 300 zł.

Po wyjeździe aferzysty do Radomia, poszkodowani wnieśli skargę do prokuratora i rozesłano listy gończe. Po dłuższych poszukiwaniach, spotkano go na Krakowskiem Przedmieściu i aresztowano.

Sąd grodzki skazał Rybakowskiego-Rdułtowskiego na dwa lata więzienia.

Plon nożowców: 1 zabity, 4 ciężko rannych

Naprzeciwko szynku Ehrlicha w Krakowie znajduje się lokal Z. Z. Z. oddziału krakowskich pracowników huty szkła. W lokalu tym odbywało się zebranie.

W pewnej chwili pomiędzy zebranymi wynikła sprzeczka, która rychło zamieniła się w krwawą masakrę. Pierwszy runął na ziemię robotnik huty szkła w Zabłociu, Adolf Płodziej, przebity przez jednego z awanturników nożem w plecy.

Z parkanu, okalającego restaurację Ehrlicha, wyrwali hutnicy kilkanaście sztachet i niemi poczęli się opędzać przed napastnikami. Nożowcy cofnęli się; zostawiając cztery ciężko ranne ofiary, uciekli.

Ukradł ubogiemu szoferowi taksówkę i zabił człowieka

Szofer taksówki Wacław Paczkowski, wstąpiwszy na obiad do restauracji u zbiegu Pańskiej i Żelaznej, pozostawił wóz na ulicy.

W pewnym momencie Paczkowski usłyszał warkot zapuszczonego motoru. Nim jednak wybiegł na ulicę, jego taksówka ruszała już z miejsca.

Przechodnie patrzyli z przerażeniem, jak samochód, kierowany niewprawną jakąś ręką, robi po jezdni dziwaczne zygzaki.

Jakoż na oczach jeszcze Paczkowskiego złodziej wpadł na przechodnia Grzegorza Gontarka. Poniósł on śmierć na miejscu, koła wozu bowiem dosłownie go zgruchotały.

Bestjalska masakra po uczcie weselnej

ŁÓDŹ. 30-letni Adam Walczak, robotnik fabryczny, zaprosił grono przyjaciół i znajomych na swój ślub, który odbył się w godzinach rannych. Gdy wieczorem goście weselni razem z nowożeńcami wyszli na ulicę, podbiegło do nich czterech osobników, którzy poczęli bezbronnym zadawać straszliwe ciosy nożami. Wezwano Pogotowie ratunkowe. Dyżurny lekarz stwierdził śmierć Walczaka wskutek odniesionych ran głowy. U czterech innych lekarz stwierdził liczne rany. Stan rannego Buczaka jest beznadziejny. Trzecia ofiara Silański walczy ze śmiercią.

Napad w stolicy

Na powracającego do domu na ul. Belgijskiej 31-letniego Eugenjusza Gutowskiego, stolarza, napadło ubiegłej nocy kilku nieznanych sprawców, którzy dotkliwie go pobili.

Lekarz stwierdził złamanie dolnej szczęki oraz dwie rany ramienia i pleców.

Złodziej w sadzie

Do ogrodu przy zagrodzie Wojciecha Drabika we wsi Tomczyk, gm. Błędów w pow. grójeckim zakradł się złodziej, który usiłował skraść owoce. Właściciele sadu dostrzegli złodzieja, który dobył rewolweru i wystrzelił do żony Drabika 41-letniej Marji.

Drabikowa ugodzona została kulą w brzuch. Przewieziono ją do szpitala św. Ducha w stanie bardzo ciężkim.

Napad bandytów na nędzarzy

We wsi Kliny pow. opoczyńskiego do mieszkania Józ. Śpiewaka wtargnęli przez okno dwaj bandyci, uzbrojeni w siekiery, którzy po steroryzowaniu żony Śpiewaka i służącej splądrowali mieszka-

nie, żądając pieniędzy. Jeden z bandytów uderzył przytem Śpiewakową trzykrotnie siekierką w ramię, zadając jej ciężką ranę. Bandyci, nie znalazłszy pieniędzy, zbiegli.

Trucie psów i kradzieże

W ogrodzie przy ul. Grodziskiej 11, należącym do pp. Reszczyńskich, otruto psa, a następnie dokonano kradzieży owoców. Jest to już trzeci wypadek otrucia psa przez złoczyńców w Brwinowie, w celu ułatwienia sobie okradania mieszkań i ogrodów.

12-letni podpalacz

Przed kilku dniami wybuchł pożar we wsi Smardziewice, koło Ojcowa, który strawił dwa domy i stodołę Jana Szostaka. Okazało się, że podpalaczem był 12-letni chłopiec, Józef Płonko. Przesłuchany przez policję chłopiec oświadczył, że podpalenia dokonał z zemsty, ponieważ dzieci Szostaków wyzywały go od złodziejów i „ślepojdów".

Kamienica pod terorem w Warszawie

Duży kilkupiętrowy dom przy ul. Ogrodowej 46, *gdzie mieszkają przeważnie robotnicy*, od dwóch miesięcy znajdował się pod terorem dwóch braci Stanisława i Bolesława Ciężkowskich. Każdy z sąsiadów, ba, nawet sublokatorzy musieli się im opłacać. Bracia Ciężkowscy ściągali haracz codziennie, przytem nie było w tem żadnej metody, ale poprostu zależało, to od humoru. Nikt nie miał odwagi skarżyć się policji, bowiem grozili zemstą i na dowód, że nie żartują, bili teroryzowanych nawet w ich własnych mieszkaniach. Nawet dozorca domu płacił im codzienny haracz.

Ktoś wreszcie przezwyciężywszy strach poufnie dał o wszystkiem znać policji, która wszczęła dochodzenie.

Jak stwierdziliśmy, bracia Ciężkowscy uzbrojeni byli zawsze w noże, nieraz też wpadali do cudzych mieszkań z siekierami.

Okradli—szkołę powszechną!

WILNO. Nieznani sprawcy dostali się wczoraj do lokalu szkoły powszechnej Nr. 28 przy ulicy Szeptyckiego 11, skąd skradli zegar ścienny i kilkanaście żarówek.

Napad na Saskiej Kępie

W Alei Waszyngtona na Saskiej Kępie została dotkliwie pobita tępem narzędziem przez jakiegoś apasza 21-letnia Wiesława Kostrzewa (Solec 37).

Ze stołecznej dżungli

Przechodzących ul. Prądzyńskiego Stanisława Chojnackiego (Wolska 84) i Henryka Kickiego z Piastowa zaczepiło kilku rzezimieszków, domagając się „forsy" na wódkę. Gdy usłyszeli, że pieniędzy nie mają, przyjęli to za odmowę i obu pobili.

Żerował na biedakach

W dniu dzisiejszym stanął przed sądem okręgowym Edward Konieczyński, lat 37, zamieszkały w Poznaniu, 4-krotnie karany, oskarżony o to, że w czasie od 15 października 1933 r. do 1 stycznia 1935 dopuścił się defraudacji tysiąca złotych na szkodę Stowarzyszenia „Samopomoc doraźna". *Stowarzyszenie to z 50-groszowych składek udzielało zapomóg pogrzebowych* rodzinom swych członków. O godz. 13.20 sąd ogłosił wyrok, skazujący Konieczyńskiego na 18 miesięcy więzienia.

Bogaty złodziej

Dorożkarz Feliks Morek (Podchorążych 10) załatwiając wczoraj czyjeś zlecenie, zakupił na ul. Skórzanej za 76 zł. wyrobów tytoniowych i paczkę towaru schował na koźle. Gdy tylko na chwilę oddalił się, jakiś osobnik porwał ową paczkę i pomknął. Tymczasem ktoś przygodny to zauważył i zaalarmował dorożkarza, który przy pomocy przechodniów złodzieja pochwycił. Okazał się nim właściciel domu w Młocinach, Stanisław Szewczyk.

Złodzieje zwolnieni — kradną znowu

WILNO. Wczoraj w mieszkaniu Bera Dytwocha (Nowogródzka 55) ujęto w czasie kradzieży znanych złodziei Wilkomira i Kuncelewicza.

Są to ci sami przestępcy, których przed paru tygodniami wytropił pies policyjny „Merkury" w szopie przy ul. Subocz, gdzie Wilkomir i Kuncelewicz ukryli się po okradzeniu mieszkania przy zaułku Kazimierzowskim; *zostali wówczas zwolnieni z aresztu*, lecz obecnie wpadli po raz drugi.

Bandyta zwolniony z więzienia teroryzował rodzinę

Od czasu, kiedy powrócił z więzienia do domu 29-letni Narcyz Tyc, nie było dnia bez awantury.

Tyca zwolniono z więzienia na 3-miesięczny urlop.

Tyc wracał do domu pijany, urządzał awantury, które kończyły się zazwyczaj bestjalskiem pobiciem żony.

Wdniu wczorajszym rzucił się na żonę z nożem, raniąc ją w bok. W obronie napadniętej stanęła jej matka, Wiktorja Piętkowa, która siekierą zadała Tycowi straszny cios w głowę.

Bandytyzm u wrót stolicy

Policja ujęła grasujących od dłuższego czasu w Rembertowie w okolicach Miłosny i w Karczewie niebezpiecznych bandytów, Felicjana Fiszla, Władysława Madeja i Stanisława Szostaka, którzy dokonali licznych napadów rabunkowych z bronią w ręku.

Bandytów osadzono w więzieniu na Pawiaku.

Napad bandytów pod Otwockiem

Na czterech chłopów z Przewoza (w gm. Karczew) czterej uzbrojeni w rewolwery bandyci w lesie pod Dąbrówką, pod Otwockiem, dokonali napadu bandyckiego. Bandyci zrabowali 410 złotych i zbiegli.

Uprzejmość wobec złodzieja prowadzi do recydywy

Przed pół rokiem pochwycony był na kradzieży Hipolit Krauze, student W. S. H. i za ten popis skazany następnie na ½ roku więzienia. Aby nie utrudniać młodzieńcowi powrotu na uczciwą drogę, nazwisko jego nie przedostało się do prasy. Onegdaj Krauze przy pomocy wytrychów dostał się do mieszkania Kazimiery Polkowskiej przy ul. Kopernika 33 i wyniósł stamtąd encyklopedję francuską wartości 200 zł. Pochwycony został przez lokatorów - sąsiadów i oddany w ręce policji.

Szajka recydywistów

Od dłuższego czasu powiaty siedlecki i powiat bielsko - podlaski są terenem napadów bandyckich. Dokonano m. in. napadu bandyckiego na spółdzielnię w Sterdyni, gdzie podczas pościgu za bandytami zabity został przodownik Seńczuk, zaś jednego z bandytów Szewczuka zastrzelono podczas wymiany strzałów między policją a bandytami, którzy byli uzbrojeni w rewolwery, karabiny i granaty ręczne.

Ta sama zuchwała banda dokonała napadu na plebanję we wsi Przesmyki, zabijając gospodynię Apolonję Szymańską.

Hersztem bandy, jak ustaliła policja, był Stanisław Caruk, który miał na sumieniu kilkadziesiąt rabunków i kilkanaście morderstw.

Napad na robotnika

Na rogu ul. Raszyńskiej i Dalekiej na powracającego z pracy do domu Władysława Pawłowskiego (Krochmalna 44), stolarza, napadło wieczorem kilku nieznanych sprawców, którzy pobili go tępem narzędziem. Gdy P. stracił przytomność, rabusie zrewidowali mu kieszenie, i zabrawszy otrzymane z wypłaty 70 zł., uciekli.

Wypuszczony z więzienia — podpala wsie

Na terenie nizin nadwiślańskich, w pow. świeckim, wybuchło prawie jednocześnie kilka pożarów stogów i zabudowań gospodarskich. Śledztwo ustaliło, że podpaleń tych dopuścił się Jan Manikowski z Przysierska (w pow. świeckim), w dniu 19 marca r. b. wypuszczony z więzienia. Manikowski ukrywa się w lasach.

„KĄCIK PRAKTYCZNY"

„KOMPOTY OCTOWE"

Wobec ostrej naganki na ocet i wszystkie dania, do których ten ocet wchodzi, coraz rzadziej spotykamy wyborną sałatę do zwierzyny i mięs czarnych — kompoty octowe.

Trudno je zalecać ludziom, cierpiącym na różne niedomagania żołądkowe, wątrobiane, nerkowe i t. p., jednem słowem tym, co skazani na surową djetę i samej zwierzyny i samych mięs ciężkich, duszonych, szpikowanych i bez takich kompotów jadać nie powinni.

Ale ludzie zdrowi?

Kiedyś zapytałam wielką powagę naukową, profesora fizjologji trawienia w Instytucie Pasteura, Edwarda Pomian Pożerskiego — wielkiego smakosza, znawcę najwytworniejszej kuchni, jednego z czterdziestu członków paryskiej akademji gastronomicznej — jak się zapatruje na stosowanie octu w kuchni. „Dla zdrowych czy dla chorych? odpowiedział zapytaniem znakomity uczony.

Oczywiście dziwiąc się memu pytaniu, myślał o wyborowym occie, który należy używać do sałat i majonezów. Do konserw wystarczy każdy byle dobry ocet, szczególniej że duża ilość cukru używanego do kompotów znakomicie jego moc i ostrość smaku łagodzi.

Wszyscy znają jabłuszka rajskie, gruszki, śliwki i wiśnie w occie — ja chcę dać przepisy dwóch mało znanych a wykwintnych w smaku kompotów.

Kompot z zielonych pomidorów: 1 kg. zupełnie zielonych, równych, średniej miary pomidorów obmyć i obsuszyć, każdy pomidor naszpikować jednym goździkiem i paskiem żółtej skórki cytrynowej, zalać 7 decylitrami octu zagotowanego z 30 dkg. cukru i ostudzonego. Nazajutrz ocet zlać, dodać 10 dkg. cukru i znów już letnim zalać pomidory. Powtarzać ten zabieg jeszcze trzy razy, każdy raz dodając po 10 dkg. cukru i podwyższając temperaturę octu. Poraz ostatni, po zagotowaniu octu włożyć do niego pomidory i smażyć bardzo wolno, aby pomidory się nie rozpadły, aż się staną przezroczyste. Po odstawieniu od ognia, wsypać pół proszku „Zaprawa do konserw', wymięszać z nim i zastudzić w miedniczce. Nazajutrz złożyć kompot do dobrze wygotowanego słoja i zawiązać pergaminem. Specjalnie smaczna przystawka do zająca i sarniny.

Kompot z dojrzałych ogórków: Grube, duże, już pożółkłe nasienniki rozkrajać na połówki, wyrzucić z nich ziarna i miąższ, łupinki delikatnie zdjąć, pozostałe, jędrne ścianki ogórków pokrajać w podłużną, dużą kostkę. Na kilo tak przygotowanych ogórków zagotować 7 decylitrów octu z paru ziarnkami pieprzu i ziela, paru goździkami i kawałkiem imbieru, ostudzonym octem zalać ogórki. Po dwóch dniach ocet zlać, zagotować, letnim zalać ogórki. Jeszcze dwa razy powtarzać ten zabieg, poczem dodać do octu 70 dkg. cukru, ugotować syrop. Wrzucić do tego syropu ogórki i smażyć bardzo wolno, aż się staną przezroczyste. Gdy się przestaną gotować, wsypać pół paczki „Zaprawy do konserw". Po zupełnem ostudzeniu, najlepiej nazajutrz dopiero przełożyć do słoja przesypując ogórki 5 dkg. ziarn białej gorczycy. Używać dopiero w tydzień po usmażeniu. Wyborna przystawka do białego drobiu: kury, pulardy, indyki lub bażanta.

Pani Elżbieta.





Wycieczki i Week-Endy

KALENDARZYK WARSZAWSKI ORBISU.

	zł.
Niedziela. 20. X. Całodzienna wycieczka do maj. Witkowizna Zwiedzanie hodowli srebrnych lisów.	7,50
Loty okrężne nad Warszawą	7,50
Poniedz. 21. X. Hołd młodzieży u Trumny Wodza. Wycieczka do Krakowa	11,70
Środa. 23. X. Hołd młodzieży u Trumny Wodza. Wycieczka do Krakowa	11,70
Niedziela 27. X. Całodzienna wycieczka do „Dworu Polskiego". Dancing, bridge, rozrywki	7,50
Loty okrężna nad Warszawą	7,50
Czwartek. 31. X. 3-dniowa wycieczka do Krakowa, Wieliczki i Ojcowa	11,70

100 placówek Orbisu

Bieżący rok był rokiem wzmożonego rozwoju sieci placówek Orbisu, których ilość przekracza w chwili obecnej setkę. Oprócz Oddziału Głównego w Warszawie (ul. Marszałkowska 98) Orbis posiada 15 oddziałów w większych miastach Polski, przeszło 50 agencyj w mniejszych ośrodkach, kilkanaście agencyj sezonowych w uzdrowiskach i 20 placówek zagranicznych w najważniejszych dla naszej akcji turystycznej krajach i miastach.

W roku bieżącym, oprócz znacznego rozszerzenia sieci placówek krajowych, otwarto agentury zagraniczne w Bytomiu, Medjolanie i Tel-Avivie, przeprowadzono ulepszenia w placówkcah w Berlinie, Paryżu i Londynie, a obecnie pracuje się nad uruchomieniem dalszych placówek i delegatur w szeregu krajów.

Akcja placówek Orbisu zagranicą nie ogranicza się do kupieckiego traktowania sprawy. Placówki Orbisu mają znaczenie ekspozytur propagandowych polskich, z dużym nakładem pracy i środków propagują turystykę polską wśród obcych.



ŚWIAT FILMU

„WYPRAWY KRŻYŻOWE"
kino „Apollo".

Cecil de Mille ma swój styl — zupełnie już dokładnie określony. Możnaby na dobrą sprawę mówić o *manjerze Mille'a.* „Wyprawy krzyżowe" nie są dla Cecil de Mille'a w żadnym wypadku terenem jakichkolwiek nowych odkryć czy to treściowych, czy też formalnych. Wszystko odbywa się według starej, zresztą znakomitej, recepty.

Jak zawsze u Mille'a wyraźna skłonność do przesadnie monumentalnego traktowania obrazów, aż do najdrobniejszych, najniewinniejszych epizodów — zawsze ta sama skłonność do naładowywania ekranu możliwie największą ilością statystów — i słabość do archaicznych kostjumów.

Trudno jest doprawdy mówić o „genjalności" Mille'a, (przydomek ten najchętniej stawia się przy nazwisku ojca amerykańskiej kinematografji): z jednej strony masa niesmacznych, typowo amerykańskich błędów — z drugiej mistrzowskie rozwiązywanie scen z tłumami i scen batalistycznych. Ta widoczna tendencja do wydobycia z filmu wszystkich możliwych *naj*—, do olśnienia widza do możliwych granic, znakomicie pasuje do amerykańskiej kinematografji — jak zresztą do amerykanizmu wogóle.

To co Mille uprawia od kilkunastu lat — urosło wkońcu w niesłychanie wystawne filmy rewjowe i tam znalazło swój właściwy wyraz. To też trudno jest się oprzeć wrażeniu przy oglądaniu „Wypraw krzyżowych", że widzimy nowy film rewjowy. Tak dalece zbliżona jest ich technika do starej Mille'owskiej recepty. Rycerze krzyżowi są (jak girlsy) ruchliwem zapełnieniem tła, na którem snuje się nitka akcji miłosnej dwojga bohaterów. Gdyby Ryszard Lwie Serce miał głos tenora operowego i śpiewał — wrażenie byłoby zupełne. W każdym razie zostawił sobie ten sam operetkowy sentymentalizm w podejściu do roli (gra Ryszarda Lwie Serce — Henry Wilcoxon).

Znamienne jest dla filmu zgoła nieoczekiwane podłoże militarystyczne. Gdzież są te niedawne czasy, kiedy szedł film za filmem o szlachetnych tendencjach pacyfistycznych, opisujących wojnę z jej prawdziwej i odrażającej strony? Wojny krzyżowe mogą być oczywiście równie dobrym pretekstem do zrobienia filmu, jak co innego — niemniej atmosfera entuzjazmu wojennego zgrabnie wydobyta i sugestywnie pokazana — zdradza jeżeli nie tendencje, to w każdym razie nastroje.

„ZAPROSZENIE DO WALCA"
kino „Rialto".

Film z rodzaju tych, które po opuszczeniu kina zostawiają tylko jedno wrażenie: niepotrzebnie wydanych pieniędzy. Blada i płytka historyjka o miłości baletnicy do młodego oficera. Lilian Harvey jest niezwykle wdzięczną aktorką — doprawdy szkoda, że jej wdzięk najlepszego gatunku musimy oglądać w tak mdłym i rozwodnionym sosie.

Właściwie film angielskiej produkcji powinien dawać rękojmię przynajmniej trochę wyższego poziomu, niż amerykańskie normalne kicze. W amerykańskich filmach każda bzdurna sałatka jest po mistrzowsku technicznie przyprawiona. Tutaj zaś technika szwankuje (film teatralny) i treść jest ciężko strawna. Szkoda pieniędzy — naszych i tych, które wydano na realizację filmu. I szkoda Liljan Harvey.

Zam.







SŁUCHAMY PŁYT

Jan Kiepura, bawiąc przejazdem w Warszawie, zdążył nagrać dwa przeboje ze swego nowego filmu. Płyta jest doskonała, gdyż jak zwykle Kiepura naśpiewał na Odeonie (236852). Głos brzmi naturalnie, nawet najcichsze tony nie giną dzięki bardzo subtelnemu towarzyszeniu orkiestry. W pełnej sentymentu piosence „Musisz w tę noc być moją" (szkoda tylko, że p. Kiepura śpiewa w *tą* noc) zachwyca nas swemi słynnemi fermatami. Drugi utwór pełen wesołości i życia „Brunetki - blondynki" przypomina arję „Questa, quella" z opery „Rigoletto"; ta sama rytmika i podobne przejścia. Muzykę skomponował R. Stolz, słowa polskie H. Halicz.

Najpopularniejszy w Warszawie Chór Dana nagrał cały szereg piosenek również na Odeonie. Doskonałą ilustracją zamieszania, jakie panuje w każdym urzędzie, jest foxtrot „Telefon" z filmu „Wacuś" (271152). Technika szybkiej i wyraźnej wymowy w tej grotesce doprowadzona jest do mistrzostwa, zręczne też są przejścia orkiestrowe. (Muzyka Dana, słowa Oldlena). Z drugiej strony płyty „Niebieska bluza", banalny foxtrot Fichera z kilkoma słowami Lira, gdyż przeważnie chór śpiewa mruczando.

Obok utworów humorystycznych chór Dana celuje też w wykonaniu pieśni nastrojowych i sentymentalnych. Zbliżona stylem do „Flisaków", które zagranicą wywołały niebywały entuzjazm, jest „Pieśń o Wołdze" (271155), ślicznie nagrana i sharmonizowana. Pozatem chór Dana naśpiewał znane nam już dawniej rzeczy jak: „Miłość przyszła sama", „Piosenka stara jak świat" i t. p.

W wykonaniu świetnej orkiestry Odeonu pod dyrekcją Gerta mamy dwie płyty. Tanga „Suez" i „Nie płacz dziecię me" (271162) z refrenami Witasa, oraz bardzo dobrą „Węgierską piosenkę" (271162), naśpiewaną przez G. Messara z doskonałem poczuciem rytmu czardasza.

Zagraniczna nowość to jeszcze jedno nagranie „The Continental" (253794). Słynna na cały świat orkiestra Harry Roy'a nagrywa to mistrzowsko; na specjalną uwagę zasługuje partja fortepianowa. Pyszna też jest rumba „la cucaracha", którą u nas spopularyzował Igo Sym jako piosenkę „Wszystko mi jedno".

Tej samej orkiestry jest też „Lullaby of Broadway" — (ten ognisty foxtrot może być kołysanką tylko wiecznie niespokojnego Broadway'u) i „Jumpon on the Wagon" — rumba, mająca śliczne, niebanalne zakończenie stopniowo ginącej melodji.

Na zakończenie zostawiam płytę jedną z najlepszych pod każdym względem. Są to dwie piosenki z komedji muzycznej „Szczęśliwy pech" w wykonaniu orkiestry Odeonu z refrenami Adama Wysockiego (członek chóru Dana). Jest to wyjątkowo fonogeniczny głos, specjalnie nadający się do interpretacji nowoczesnych piosenek; głos zbliżony do angielskich pierwowzorów w tej dziedzinie. Bardzo miękki, o rozległej skali i dobrej dykcji baryton ten łudząco naśladuje swych angielskich kolegów, zwłaszcza w foxtrocie „Tylko ty" (277119). „Nadejdą kiedyś takie dnie" również jest bardzo udaną kompozycją; pełne brzmienie orkiestry doskonale harmonizuje z głosem śpiewaka.

* * *

Orkiestry jazzowe, dążąc do urozmaicenia dźwiękowego jednostajnych często melodji, włączają do swych zespołów coraz to nowe instrumenty. Po wibrafonie przyszła kolej na piłę. Efekt doskonały, gdyż głos piły jest bardzo fonogeniczny. Takim zespołem złożonym z różnorodnych instrumentów umiejętnie wyzyskanych jest orkiestra akordeonów (nowoczesne harmonje) „Primo Scala's Accordeon Band". Jest to nowość „Syreny" — trzeba przyznać, że bardzo udana.

„Zbiór najpiękniejszych walców" (bostonów) nagrany jest interesująco i bez zarzutu. Z wielką przyjemnością słucha się miłych dawnych melodji, jak Always, Ramona i t. p.

Tej samej orkiestry z refrenami angielskiemi jest boston „Kołysanka" i slowfox „Gdy wracam do ojczyzny" (8491). W tych utworach przeważają akordeony — wytwarza to monotonję. Ślicznemi melodjami dźwięczą piosenki „Noc w Neapolu" i „Ulica w Sewilli" (8496), szkoda tylko, że refreny są angielskie, a nie włoskie lub hiszpańskie, gdyż charakter tych tang nie pasuje do gardłowej mowy angielskiej.

Z płyt t. zw. salonowych „do słuchu" przesyła nam „Syrena" „Samum" (8495) Robrechta, nagrane przez orkiestrę dętą. Bardzo dobry zespół i wykonanie, gdyż nawet forte brzmi czysto i naturalnie.

Znana nam już dawniej orkiestra „Casani Club" nagrywa 2 foxtroty „Śpiew mego serca" i „Jedno małe spojrzenie" (8488). W porównaniu z orkiestrą akordeonów zespół ten traci. Aston roztkliwia nas w sentymentalnych tangach „Kto dziś całuje twe usta" (bardzo ładna muzyka Krupińskiego), „Nad kołyską"



Znakomita śpiewaczka Ada Sari, której gościnne występy cieszyły się wielkiem powodzeniem w Operze Warszawskiej.

(8510) oraz „Nie można wiecznie kogoś zmuszać do miłości". (8508). Zato w slowfoxie Shera pełnym życia woła stanowczym głosem „Powiedz tylko jedno słowo „tak". Instrumenty towarzyszącej orkiestry „Syrena" odznaczają się na tych płytach wyjątkowo pełnym dźwiękiem.

Bardzo subtelnie nagrane są przez Charlie Kunza „Melodje przebojowe" (8437). Tylko, że jeden fortepian brzmi trochę za słabo i za „ubogo" do tańca, jest więc to płyta raczej do słuchania. Do tańca nadaje się dopiero przy zastosowaniu adaptera na głośnik radjowy. Dźwięk fortepianu brzmi dobrze — jest minimalnie zniekształcony.

H.

NASZE KUPONY TEATRALNE

OPERA, Teatr Wielki

KUPON № 47

ze zniżką 25%

Ważny od 18/X do 24/X rb. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **25%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Teatr KAMERALNY

KUPON № 47

ze zniżką 50%

Ważny od 18 X do 24/X rb. włącznie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.

Uprawnia do nabycia w kasie teatru do godz. 7-ej wiecz., o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia, biletu dla jednej osoby ze zniżką **50%**, od pełnych cen danego przedstawienia.

Z TYGODNIA



W całych Włoszech wielkiemi afiszami zwoływano na słynną „adunatę" faszystowską.



Ambasador włoski w Londynie Gino Grandi po konferencji z ministrem Hoare'm — daje informacje dziennikarzom angielskim.



Oddziały abisyńskie śpieszą na front



Następca tronu abisyńskiego podczas swych studjów wojskowych w Europie.

„ŚWIAT" **Redakcja i Administracja: Warszawa, Szpitalna 12. Tel. Red. 210-87. Tel Adm. 504-00.**

WARUNKI PRENUMERATY (łącznie z premjum książkowem). W Warszawie: Odbiór w Admin. mies. Zł. 5.— kwart. Zł. 13.50. Z odnoszeniem do domu mies. Zł. 5.50, kwart. Zł. 15.—. Na prowincji mies. Zł. 6.— kwart. Zł. 16.20. Zagranicą mies. Zł. 8.— kwart. Zł. 21.60.

KONTO P. K. O. 3.755

Redaktor *L. Chrzanowski* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa